ROK XXIV. STYCZEŃ-KWIECIEŃ 1916. ZESZYT I. i II.

KWARTALNIK CHYROWSKI

DEO-PATRIAE-AMICITIAE.

Korespondencya przyjacielska w miejsce rękopisu.

•••

Organ Konwiktu, Sodalicyi konwikt., Chyrowskiego Koła Tow. im. P. Skargi oraz Związku Chyrowiaków.

■■■

Prenumerata roczna 4 K — zeszyt pojedynczy 1 K.



TREŚĆ ZESZYTU: Nasz Opiekun i Obrońca. — Aby nie zginęło. — Na służbie Czerw. Krzyża. — Wiadomości o dawnych Kolegach. — Pamięci zmarłych. — Zjednoczenie narodowe. — O poezyi Legionów. — Do Młodzieży Konwiktowej. — Z życia Sodalicyi. — Kronika konwiktowa. — Sprawy Związku Chyrowiaków.—







Św. JOZEF.

„Przyjm także nasz wiek w swe ręce i nad nim opiekę miej“.

KWARTALNIK CHYROWSKI.

DEO-PATRIAE-AMICITIAE.

KORESPONDENCYA PRZYJACIELSKA W MIEJSCE RĘKOPISU

ORGAN: KONWIKTU, SODALICYI KONWIKTOWEJ, CHYROWSKIEGO KOŁA TOW. IM. PIOTRA SKARGI ORAZ ZWIĄZKU CHYROWIAKÓW.

Nr. I. i II. STYCZEŃ-KWIECIEŃ 1916.

86-87.

Nasz Obrońca i Opiekun.

Często nasi kaznodzieje głosili, że dobry uczynił wybór O. Jackowski, oddając Chyrowski Konwikt pod opiekę św. Józefa, a to zdanie szereg lat ubiegłych wciąż potwierdzał. Wojna obecna spotęgowała jeszcze naszą ufność w skuteczność obrony naszego Opiekuna, do czego w czasie inwazyi zachęcał wszystkich senior naszych księży, O. Baudiss, utrzymując, że właśnie teraz św. Józef pokaże, iż jest rzeczywiście Patronem Chyrowa.

Pamiętamy wszyscy, bo to niedawne czasy, jak po zbudowaniu nowej kaplicy konwiktowej długo do niej szukano odpowiedniej statuy św. Józefa, jak ówczesny Rektor O. Nuckowski z W. O. Ledóchowskim, obecnym Generałem zakonu, wybierali wśród artystów rzeźbiarzy twórcę posągu do naszego ołtarza i znaleźli Aureli'ego. — Czytaliśmy później wyjątek z gazet włoskich, z chlubną oceną naszej figury, wystawionej w Rzymie. Wreszcie d. 29. stycznia 1909 r. wśród ogólnej radości był cały Konwikt świadkiem, jak O. Nuckowski statuę w ołtarzu uroczyście poświęcił. Cześć dla św. Józefa z roku na rok poczęła wzrastać nie tylko wśród mieszkańców Konwiktu, ale nawet i w okolicy.

Choć wojna się jeszcze nie skończyła, ale jak dotąd, to prośby O. Rostworowskiego, Bogu przez św. Józefa przedstawione, zostały wysłuchane, bo uczniowie i nauczyciele na wspólną pracę do Chyrowa wrócili. Toteż ślubowaną dziękczynną Mszę św. co środę już jeden z księży według porządku odprawia, o wmurowaniu tablicy

pamiątkowej w kaplicy myślą już sami obecni i dawni Chyrowiacy, na złotą zaś koronę zaczynają napływać drobne datki, czego dali początek sami rodzice konwiktorów, przejęci również wdzięcznością dla naszego Opiekuna i Obrońcy. I nic w tem dziwnego, bo czyż przed rokiem spodziewał się kto, że Konwikt już dziś będzie otwarty?

Opiekunowi młodzieńczych lat Jezusa wszystko zawdzięczać należy, piszą z różnych stron przyjaciele Konwiktu, wyrażając żdziwienie, że Konwikt otwarty. Już bowiem nawet po ustąpieniu najezdcy i po odpływie i oddaleniu się wojennej fali, otwarcie Konwiktu napotykało na wielkie trudności; słusznie wielu niepokoiła obawa o zdrowie młodzieży w poszpitalnym gmachu, jak niemniej tak trudna w obecnych czasach sprawa wyżywienia. A jednak stan zdrowotny nie pozostawia nic do życzenia, a głodu nie cierpimy. Komuż za to dziękować jeśli nie św. Józefowi?

Do nadprzyrodzonych pobudek czci, które nam wiara podaje, wskazując na wielką godność Oblubieńca Niepokalanej Dziewicy przybywa nowa, jakby miejscowa pobudka miłości i wdzięczności, gdyż św. Józef objął Chyrów, jakby własne dziedzictwo w posiadanie, czuwając nad nami, jak nad Domkiem Nazaretańskim.

Niech więc ufność nasza wzrasta i potęguje się we wszystkich pokoleniach Chyrowskiej Młodzieży do tego Najświętszej Rodziny Gospodarza.

Niech ten Obrońca, który tak troskliwie strzegł przed zniszczeniem konwiktową kaplicę, strzeże nadal i serc naszych, aby były przybytkami miłymi Bogu i świątynią Ducha Świętego!

Poleć nas Zbawcy naszemu,
Któregoś piastunem był;
Prowadź nas, prowadź ku Niemu,
Do cnoty dodawaj sił.

Niech w sercach naszych przebywa
Bóg Jezus z Maryą wraz,
Grzech związku z Nimi nie zrywa
Przez wszystek żywota czas...

Racz Stróżem być młodzieńczych lat!





Aby nie zginęło...

Wielu z naszych kochanych Czytelników, przebywających w rozproszeniu i za frontem bojowym nie wie, co się u nas dzieje, ale dla nich zeszyty naszej korespondencyi zachowamy, aby gdy Bóg pozwoli złączyć się z nimi, nasze pisemko im doręczyć.

W obecnych czasach wiele ważnych i ciekawych dokumentów i artykułów znajdujemy w pismach codziennych, dzienniki jednak po większej części giną, nie dochodzą też do wielu naszych Czytelników, stojących w polu. Z powyższych więc powodów będziemy pod tym nagłówkiem zamieszczać pewne wyjątki z gazet, by utrwalić ślady myśli, uczuć, prac, ofiar i walk Polski.

Defensor Poloniae.

Benedykt XV. wszedł w ślady wielkiego i niezapomnianego rzecznika Polski — Piusa IX. W niedzielę cały Rzym z Papieżem na czele, za nieszczęśliwą modlił się Polskę. Benedykt XV. osobiście, według postanowionego przedtem programu, przewodniczył błagalnym modłom w Bazylice św. Piotra, pomocy Wszystkich Świętych dla narodu naszego wzywając.

Za żaden inny naród modły takie nakazane nie były, bo też sama tylko Polska ma ten smutny zaszczyt być Jobem narodów. Ci, co nigdy przedtem może nie słyszeli imienia Polski, onegdaj dowiedzieli się o niej: że była potężnem Chrześcijaństwa przedmurzem, że była zawsze wierna, i że „Matką Świętych“ była i wspaniałą córą Kościoła, a szlachetną obronicielką narodów.

We wszystkich językach 300 milionów katolików wymawiało imię Polski z uszanowaniem, i rozmyślało nad narodem, którym stał się po-

dobnym do onego ewangelicznego żydowina, co leżał pobity i skrępowany jako rychłej śmierci pastwa. Dowiedział się świat cały onegdaj, że Benedykt XV. z miłością zbliżył się do nas, i że chce leczyć nasze rany, wybierając drogę Piusa IX., którego słusznie Ojcem Ojczyzny naszej, choć nie Polaka, nazwaćby można.

Dzień 21. listopada będzie niewątpliwie w Polsce pamiętnym po wieki. W dniu tym Namiestnik Chrystusowy ze wszystkimi wiernymi przypuścił szturm do serc całej ludzkości, zakołatał głośno o pomoc dla męczeńskiego narodu, a to w imię zasług dla Chrześcijaństwa położonych, w imię Świętych, którzy z tego lechickiego wyszli plemienia. — I zrozumiano wszędzie, że tu chodzi o naród, którego duchowej kultury wykwitem byli: Stanisławy, Jozafaty, Kazimierze, Jacki i Salomeje, a których imiona i oni z uszanowaniem noszą.

To wszystko winniśmy Stolicy Apostolskiej, winniśmy Benedyktowi XV.!

Po raz to już drugi z Watykanu Ojciec Chrześcijaństwa o ratunek i modły dla Polski umęczonej woła, a to tak głośno, że głos ten cały usłyszał świat: przyjaciele i wrogowie!

Pierwszy raz w roku 1863: Polska opłakiwała 30.000 pomordowanych swych synów i 150.000 z górą wypędzonych w mroźne krainy Sybiru. Wszyscy nas opuścili. W takiej to chwili zbliżył się do nas Papież. On sam tylko — Pius IX.

I nie tylko w allokucyach swoich gromił z Piotrowej Stolicy nieprzyjaciół naszych, na głowy ich pomsty Bożej wzywając, ale by przyspieszyć dzień Polski Zmartwychwstania, który nam był przepowiedział, nakazał publicznie obnosić po ulicach Rzymu cudowny obraz Zbawiciela „Acheropita“. W orędziu swem do Rzymu polecił modlić się za „*nieszczęśliwą Polskę, wydaną w tej chwili na łup tyle mordów i krwi przelewu, bo ze wszech miar naród ten zasługuje, by się zań modlono, ażeby z trapiących go klęsk został wyzwolony, nie tracąc nigdy charakteru swego*“.

W ślad za Ojcem świętym, biskupi ogłosili modły za Polskę, a we Francyi założono nawet stowarzyszenie (Oeuvre du catholicisme en Pologne), które na ratunek Polski w ciągu 5 miesięcy 41.429 franków zebrało.

Świetną była owa procesya dnia 6. września 1863 r. za naród „zawsze wierny“ odprawiona. Cały Rzym, liczny orszak duchowieństwa z kardynałami na czele, pomocy Bożej dla „męczeńskiej Polski“ głośno wzywał. Sam Pius IX. przybył oficyalnie do „*Maria Maggiore*“ d. 10. września odmówić na intencyę Polski litanię do Wszystkich Świętych, za co Rząd narodowy polski (29. paźdz. 1863) przesłał Mu adres dziękczynny. Wtedy to lud rzymski wznosił okrzyki: *Vivat Pius IX. defensor Poloniae!*

A kiedy 15. września tegoż roku zamieszkała w Rzymie Polacy procesyonalnie ze spiewami polskimi po ulicach Rzymu postępowali, Pius IX. głęboko wzruszony, przyłączył się do nich i tak wraz z najwyższym swym Opiekunem modlili się Rodacy nasi za nieszczęśliwą Ojczyznę.

Ile to zachowanie względem Polski Piusa IX. przysporzyło nam sympatyi po świecie całym — a przyniosło wstydu naszym prześladowcom — pamiętają starzy!

Obecny Papież Benedykt XV. poszedł śladami Piusa IX., stał się orędownikiem, pocieszycięlem, Ojcem. Nie zapomni tego Stolicy Apostolskiej nigdy, Polska zawsze wierna, a Benedykt XV. wiecznie wspominanym będzie jako szczery przyjaciel i defensor Poloniae!

Józef Stanisław Pietrzak.

Sienkiewicz do Ojca św.

Sienkiewicz wystosował do Ojca św. Benedykta XV. list, który „Osservatore Romano“ ogłosił na miejscu naczelnem. W tłómaczeniu z tekstu pisma szwajcarskiego brzmi list ten, jak następuje:

Jakikolwiek będzie wynik poleconej przez Stolicę Apostolską składki na rzecz Polski, wdzięczność nasza będzie niewygasłą, a również i świadomość, że w godzinę bólu i smutku przedewszystkiem zwrócić się trzeba do Stolicy świętej. Naród polski stale był z głębi duszy katolicki, wiara jego przetrwała i najcięższe próby. Ojcowska dobroć Ojca św. i miłość, którą okazał ukochanej naszej Ojczyźnie, czynią nam osobę Jego szczególnie drogą i czcigodną. Imię Benedykta XV. wymawiane będzie z dziecięcem przywiązaniem w każdym zakątku szerokiego naszego kraju, przepojonego dziś krwią i łzami. Oczy wszystkich zwracają się ku Niemu z głęboką ufnością, że — chociażby świat cały Polskę pozostawił jej nieszczęściu — w najlepszym i najwspaniałomyślniejszym Ojcu kraj znalazłby swojego Opiekuna. Oby Opatrzność dała, by kiedyś narodowi polskiemu dane było okazać swe oddanie się i wdzięczność nie tylko słowami, ale czynami.

Odpowiedź pap. Benedykta XV. na adres biskupów polskich.

Czcigodni Bracia!

Pozdrowienie i Apostolskie Błogosławieństwo!

Ze wspólnego Waszego listu płynie ku Nam to samo przykładne przywiązanie i cześć, która — jak Nam wiadomo — wyróżnia nietylko

biskupów, ale i duchowieństwo cale i lud katolickiej Polski. A nie myślcie, Czcigodni Bracia, jakobym w miłości i oddaniu chciał się Wam dać wyprzedzić. Od dawna bowiem tkwi w mej duszy umiłowanie narodu Waszego zgoła osobliwe, które dziwnym sposobem wzrasta teraz, na widok tych licznych a ciężkich nieszczęść, co Was skutkiem tej wojny już prawie przygniotły. Zwróciły one, jak wiecie, ojcowskie ku Wam współczucie i nad jednem tylko boleję, że czynna pomoc z mej strony nie mogła dorównać wszystkiemu, czego calem, gorącem sercem Wam życzę. Atoli nie ustaję nigdy w modłach moich do Boga, nieprzebranego nigdy w miłosierdziu, aby Wam Czcigodni Bracia, i całej Polsce z pomocą pospieszyć raczył, by i gorycz dni teraźniejszych złagodził i wszystkie słuszne pragnienia Wasze zaspokoił.

Błogosławieństwo Apostolskie, które Wam wszystkim, Czcigodni Bracia, jak i Duchowieństwu i oddanemu Waszej pieczy ludowi, miłościwie w Panu udzielamy, niechajże Wam będzie łaski i opieki Bożej poręką, a mojej życzliwości dowodem.

Dan w Rzymie u św. Piotra 10. grudnia 1915, w drugim roku naszego pontyfikatu.

Benedykt PP. XV.

„Jako piorun twoje ramię"...

Rok się kończy, młodzi towarzysze! Czas na obrachunek plonu tego dziwnego roku, w którym wszystkie cztery pory roku były ostre. Grzmoty i pioruny nie przestały bić dalej, choć słońce daleko odeszło.

Od skwarów i znojnych marszów po piachach lubelskich dla nas ten rok się rozpoczął. Na wasze młode twarze, nieraz dziecinne, zlane potem, na umęczone pod ciężkim rynsztunkiem wasze wiotkie jeszcze kości patrzyliśmy my z armii ze współczuciem, ile razy danem nam było się z Wami spotkać. Żal nam Was było, myśleliśmy, że szkoda naszej młodzieży. Waszych kilkadziesiąt tysięcy bylo garstką wobec dzisiejszych milionowych armii, krociowych korpusów.

Przeszliście wtenczas najcięższe może czasy, nie wierzono w Waszą siłę i w Waszego ducha, organizacyę Waszą zachwiano, warcholstwo omal że i Was swoim swarom nie poświęciło. Z błotem jesiennem i topielą deszczową, z liśćmi martwemi złe wieści leciały od frontu, zwątpienie i rozpacz zmiękczyło wielu — Wyście wytrwali. Choć zamróz zimowy leciał już od bielejących śniegiem Tatrów i zwątpiałych serc, Wasze były ciągle gorące i pełne wiary. Zaczynają o Was mówić — nie bez zdziwienia stwierdza się w tych pierwszych wzmiankach ciągle ta sama zwrotka: „biją się jak waryaty..."

W Olkuskiem, pod Łowczówkiem zdaje mi się, z taką brawurą zdobywacie jedną z linii rosyjskich tak silną, że nasza nie przypuszczając,

aby to mogło być wziętem, wali granatami w Wasze pozycye dalej. „Die braven Legionäre!“ — Dzielni młodzi towarzysze! mam jeszcze przed oczami tę rudzizną zimowego ugoru popstrzoną sinemi planami Waszych poległych. Jeden z moich towarzyszy przy komendzie korpusu, wielkiego niemieckiego rodu potomek, opowiadał mi, jakiego uczucia otuchy i pewności doznał kiedyś w ciężkiej ordynansowej służbie, nocą z kilkoma ułanami wysłany, gdy się natknął na dwóch ułanów legionistów. Blizko rosyjskich placówek trzeba się było prześliznąć oryentacyi na chwilę nie stracić, a elektrycznej lampki, aby na mapę spojrzeć, pod grozą kuli rosyjskiej zaświecić nie można.

Zima: zima ze swojemi nocami bez końca, z przemoczonemi podeszwami, ze skostniałemi palcami — pomimo rękawic, i stopami — pomimo że strzemiona słomą oplecione, mrozy bezlitosne, obojętne. Konie często korę z drzew na obrok jedyny zdzierają, a nędza konia dla kawalerzysty, to chyba najcięższem do zniesienia. Ale ta zima wiedzie Was w Karpaty ku najsławniejszym, najzawziętszym krwawym hekatombom, jakie zna historja świata. Nie byłem tam, nie widziałem tego śnieżnego, puszystego cmentarzyska, gdzie rannych prawie nie było, bo mróz nawet lekko postrzelonych dobijał natychmiast. ...Per aspera ad astra“ brnęliście tam tonąc w śniegach, młodzi towarzysze! Aleście gwiazdy Waszej chwały i zasługi dosięgli. Wy! „die braven Legionäre!“ Z potokami tających śniegów lawiną spuszczacie się ze stoków karpackich z ziemi węgierskiej do polskiej! Z pierwszą zielenią, z pierwszym podmuchem wiosny tej dziwnej, niby jaskółki zaczynają nadlatywać wieści pomyślne.

„Bitte um Verstärkung ein Infaterie-Regiment oder zwei Bataillone Legionäre“ — telefonuje z zagrożonej pozycyi niemiecki generał v. M.

Każda bitwa, każde polskie miasto odebrane jest pole dla Was, aby chwale żołnierza polskiego bez zmazy i trwogi jeszcze się przysłużyć.

Miałem zaszczyt u Wodza naczelnego niedawno zdawać relacyę o tem, co widziałem w armii generała v. Mackensena pod Krasnymstawem, a gdy o dzielnym tym dowódcy i jego armii z zapałem mówiłem, zapytał mnie Wódz naczelny, czy widziałem legionistów, „die haben sich dort wieder besonders ausgezeichnet“.

* * *

Wiosna pełna otuchy już latem urodzajnem. W gloryi słońca szumią łany polskie, zarastają trawą rany naszej ziemi. Sursum Corda!

W tej chwili słyszę głosy: *Warszawa wzięta!* 5. VIII. 1915.

W. Kossak.

Gwiazdka Legionów.

Znów, po raz drugi już od wybuchu wojny, zaświeci żołnierzom naszym gwiazda wigilijna nad okopami, gdzie w labiryncie ziemianek spędzić im przyjdzie dnie świąteczne. Zaświeci także im, tym naszym najbliższym i najmłodszym, gdzieś na froncie, zdala od ognisk domowych, o których przyszłość walczą. Przed dwoma zaledwie laty niejeden z nich witał jeszcze z chłopięcą radością iskrzące światełko, rozpalone na domowej choince rękoma sióstr i matek, śmiały mu się oczy do podarków i niespodzianek, jakie zgotowała tkliwość rodzicielska. Dziś młode twarze zmężniały, ręce stwardniały od broni, a w głowach młodocianych zagościła myśl świadoma doniosłości ofiary, jaką ponoszą dobrowolni szermierze sprawy, za którą tylu z nich oddało już młode życie. W dniu jednak wilii, w tym dniu rodzinnego święta, tak bardzo naszego, odtaje niezawodnie i w okopach strzeleckich hart żolnierski, a serca zadrżą tęsknotą do rodziny i domu, do jasnego, ciepłego kąta, gdzie przy stole wigilijnym zostało opróżnione przez nich miejsce, a imię ich wspomnianem będzie przy łamaniu się opłatkiem, ze łzą, ale i z uśmiechem nadziei.

Wprowadzić w dniu tym do okopów żołnierskich i sal szpitalnych choć nieco tego nastroju, który dałby żołnierzom naszym daleki choćby odblask tego ciepła rodzinnego, od którego odsunęla ich groza trudów wojennych, to było zadaniem komitetu, który wziął w swoje ręce organizacyę „Gwiazdki“ Legionów. W zadaniu tem nie został komitet odosobnionym; liczył tylu chyba współpracowników, ilu mieszkańców ma nasze miasto, ogarniając równocześnie cały szereg filij prowincyonalnych, których współudział przyczynił się niemało do obfitego plonu gwiazdkowego.

Nie dziw też, że w ostatnich tygodniach gwiazdka legionistów stała się kwestyą dnia, wysuniętą na pierwszy plan, z pokrzywdzeniem nawet codziennego interesu dla biuletynów wojennych. O niej mówiono wszędzie. „Czy tylko dojdzie na czas?“ — „Czy zdoła się zgromadzić dostateczną ilość cieplych rzeczy?“ — „Jak zaradzić brakowi wełny?“ Narady i posiedzenia; każdy dzień przynosił nowe plony, a pozostalym brakom zaradzono, wprowadzając w ruch przemysł domowy, stary, skrzętny, niesłusznie zapoznany przemysł t. zw. robótek ręcznych. Migały druty i szydełka w pracowitych rękach — zwłaszcza starszego pokolenia, jak to sprawiedliwość każe przyznać — a w rezultacie powstały stosy skarpetek, szalików, rękawiczek, kominiarek, mitynek, owijaczy. Nie mniej skutecznym okazał się współudział szkól, a zwłaszcza szkoły robót i szkoły gospodarczej, dzięki czemu śmiało można twierdzić, że w dorobku zachodnio-galicyjskiej „Gwiazdki“ przeważa domowo ręczna produkcya nad zakupioną w sklepach.

Osobną a rzewną nutę w ofiarności stanowi bardzo liczny w niej udział polskich dzieci. Obfitym strumieniem popłynął ten grosz dziecięcy, odkładany nieraz wytrwale w glinianej skarbonce całymi miesiącami, z gotowością wyrzeczenia się własnych aspiracyi do drzewka wigilijnego, byleby tylko w zamian otrzymał je w tym dniu świątecznym żołnierzyk-legionista, byle uzyskać prawo przesłania do okopów listu, niewprawną skreślonego ręką, na który może nadejdzie odpowiedź. Listów takich otrzymał gwiazdkowy komitet centralny całe setki i szkoda doprawdy, że nie ułożono z nich dzienniczka pamiątkowego, któryby służyć mógł w przyszłości za dokument chwili, stwierdzający wobec tych, co po nas przyjdą, co kochało i czem karmiło duszę najmłodsze pokolenie naszych czasów. Bo też w tych listach dziecinnych, pomimo niezawodnego wpływu starszych, nadających ogólną linię naiwnym wynurzeniom, drży zawsze jakaś struna osobista i szczerze dziecięca, jakaś tląca iskierka młodziuchnej wyobraźni.

Oto Jania R., siedmioletnia inicyatorka gwiazdki dla czterech legionistów, wsuwa tajemniczo do woreczka tego, co jest od niej, malutką piłeczkę i przyznaje się do tego wtedy dopiero, gdy torebkę zaszyto. Zależało jej bardzo na tem, aby „pan legionista“ dostał tę właśnie piłeczkę, którą jej mama kupiła na pociechę, gdy była chorą. Tkwi w tem jakaś subtelność dziewczęca, połączona z naiwną wiarą, że najsmutniejszy nawet legionista ucieszyć się musi piłką, która jej samej tyle sprawiła radości. Rówieśnik jej Julek S., przesyłając pudło, wypełnione dobranymi przez siebie podarkami, przeznacza je dla ułana, koniecznie ułana i koniecznie z trzeciej brygady, tak już sobie obmyśliła jego chłopięca fantazya. — Marysieńka z Mołotkowa pragnie, aby podarek jej dostał się żołnierzykowi-dziewczynie, jeśli taka jest w legionach. — Rzecz ciekawa, czy komitet uwzględni to życzenie małej ferministki. Braciszek jej Wicuś, chce znaleźć wśród legionistów swego imiennika, dla niego posyła gwiazdkę, a jeśli to nie możliwe, to niech będzie przynajmniej Józik. Pełno jest takich zastrzeżeń w tych listach dziecinnych, a w każdym powraca jak echo życzenie powrotu zdrowego, szczęśliwego, rychłego powrotu. Znają dzieci wartość bohaterstwa, ale rozumieją też, jak ciężko być im musi daleko od domu, a jeszcze w takie święto. Nie brak też w listach zwłaszcza dziewczynek nuty uczuciowej i pewnego opiekuńczego tonu.

„...Codziennie czytają nam o was i opowiadają nam starsi, jak dzielnie walczycie, ile trudów i niewygód znosicie, a wszystko to dla nas, żeby nam lepiej było. Bardzo my was kochamy, bardzo, choć wy o tem nie wiecie“.

„Drogi obrońco kochanej ojczyzny, przyjmij ten podarek, na który zdobyła się moja oszczędność, bo któżby nie odmówił sobie, byle wam drodzy, dać dowód pamięci. Mała jestem dziewczynka, bo mam dopiero lat 9, ale wiem, że Wy, drodzy, poświęciliście wszystko, niosąc życie

w ofierze ojczyźnie. Więc my dzieci polskie modlimy się za was, by krew rannych braci nie była darmo przelana a was, którzy przy życiu jesteście, aby wróciła Królowa Korony Polskiej. Posyłam medalik, który poświęcił mój ksiądz katecheta, proszę go nosić na piersiach a ja modlić się będę, by ochronił pana od wszystkiego złego. Za to proszę napisać do mnie na kartce, która jest do mnie zaadresowana a będzie to dla mnie pamiątką, którą zachowam przez całe życie".

Jest w tym liście 9-letniej dziewczynki powaga i troskliwość; mała to już kobietka, skłonna do roztaczania opieki nad tymi, których dobra pragnie.

„Dzieci nasze skaczą z radości — pisze przełożona SS. Urszulanek z Tarnowa — na myśl, że ich paczki do rowów strzeleckich na pewno się dostaną. Niejedna bogatsza w tem gwiazdka, ale i w mniejszych zawsze coś ciepłego i smacznego się znajdzie".

Szerokie, jak widzimy, kręgi objęła ofiarność dzieci naszych; nie dnia, ale miesiące wstrzemięźliwości nałożyły na siebie dobrowolnie, byle się skutecznie do gwiazdki przyczynić. I dobrze jest i zdrowo dla młodych ich duszyczek, że poniosą tę ofiarę z radością i w imię szerszych haseł, że choć czynią to nawpół świadomie niezawodnie, ta szczypta idealizmu, jaką wchłania dziś w siebie duchowa ich istota, podsyci w nich może kiedyś i doprowadzi do rozkwitu najistotniejsze pierwiastki narodowych i obywatelskich cnót, stanowiące o wartości danego pokolenia.

Wynik gwiazdki dla legionistów przynosi naprawdę zaszczyt sprężystej organizacyi centralnego komitetu. 7000 paczek posłano już jak wiadomo, w pole z Krakowa przez osobną delegacyę, która prawdopodobnie znajduje się już u celu. Ofiary jednak i datki napływały wciąż dalej, wobec czego komitet gwiazdkowy zorganizował dalszą akcyę mającą na celu zaopatrzenie licznych szpitali, w których rozproszeni są żołnierze-legioniści. Jeśli zważymy, że obok bogatego dorobku gwiazdki zachodnio-galicyjskiej, nie mniej gorliwie pracował komitet lwowski i Koła Ligi kobiet w Królestwie, to można chyba ręczyć, że żaden zdrowy ani chory legionista nie będzie pominięty i każdy otrzyma jakiś dowód pamięci. Komitet postawił sobie za zasadę zachować w upominkach zupełną prawie równość. Wyjątek jedyny stanowią torebki dla komendantów brygad i pułków. Woreczków żołnierskich na nici igły i inne drobiazgi uszyto 10.000; dla szeregowców zwykłe, dla oficerów jedwabne ze srebrnymi sznurami i artystycznie wyszytym orłem. Jeden n. p. z tych woreczków, wykonany w najlepszej pracowni hafciarskiej, jest to wprost małe cacko, przypominanące żywo wytworne tego rodzaju wyroby z końca XVIII. wieku, przechowywane do dziś w niejednym domu jako cenna pamiątka.

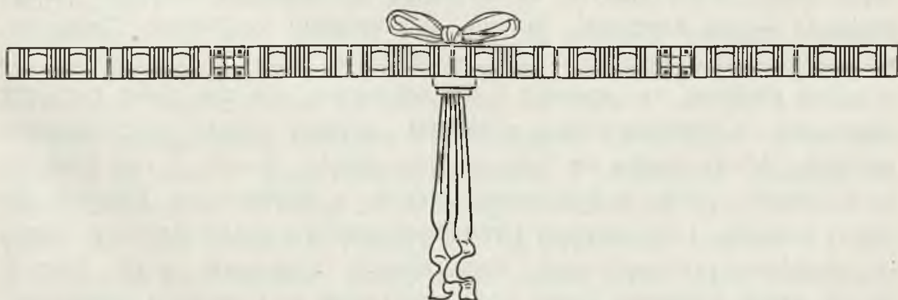
Cała akcya gwiazdkowa, dokonana z takiem powodzeniem, w tak stosunkowo krótkim czasie jest objawem, w którego zasadzie tkwi coś więcej ponad zaspokojenie doraźnego sentymentu. Chętna gotowość, z jaką

składano większe, mniejsze i najmniejsze datki, jednomyślna harmonia w dążeniu do celu, wszystko to płynęło z samorzutnego popędu, zwracającego oczy i serca ku wybranym dzieciom narodu. Hołd to jest także złożony tym, dla których nadchodzące święta zamykają okres całoroczny wysiłków i walk stoczonych na olbrzymim szlaku bojowym, znaczonych takimi kopcami granicznymi, jak Łowczówek, Rafajłowa, Limanowa, Koralówka, Rokitna, Przepiorów, Tarłów, Jastków, a wreszcie ostatnie walki. Każda z tych nazw, to rapsod rycerski, to etap bojowy, znaczony mogiłami, nad których darnią wschodzi już gwiazda, rumiana od krwi, przysłonięta chmurą żałoby, to znów roziskrzona błyskawicami tryumfu i nadziei — gwiazda Legionów.

(Czas) B-a



Z ŻYCIA OBOZOWEGO





W SŁUŻBIE CZERWONEGO KRZYŻA

(Z PODRÓŻY NA RUGIĘ I PO WĘGRZECH)

przez O. Klemensa Dąbrowskiego O. S. B. z Pragi.

Dnia 7. września zawezwał mnie do siebie Przew. O. Opat i zawiadomił, że tegoż dnia wieczorem wyjechać muszę pociągiem sanitarnym, aby mu w charakterze kapelana i zarazem posługacza przy rannych towarzyszyć. Pociąg ów był już od miesiąca na usługach Czerwonego Krzyża. Od samego początku towarzyszyło mu siedmiu naszych kleryków i O. Magister. Do tej samarytańskiej pracy przygotowali się oni kilkutygodniową praktyką po szpitalach praskich. Teraz wieźli inwalidów rosyjskich z Wieselburga w Dol. Austryi, by ich za pośrednictwem Szwecyi wymienić za naszych, z Rosyi przybyć mających. Jechali przez Pragę, gdzie O. Magister miał ich opuścić a ja w zastępstwie jego dalej im miałem towarzyszyć.

Przybywszy na dworzec, zaznajomiłem się naprędce z nowymi obowiązkami i wnet wejść musiałem w moją nową rolę. Mój tytuł oficyalny od tej chwili brzmiał: „Kapelan lazaretowego pociągu Nr. 45“. Dla nas ośmiu przeznaczonym był osobny wagon, w którym mieszkaliśmy o ile nie było chorych w pociągu. Wóz przedzielony był na dwie części: jedna służyła za sypialnię dla naszych teologów, druga mniejsza — dla kapelana. W niej odprawiałem codziennie Mszę św. na małym, składanym ołtarzyku, — tam też zgromadzaliśmy się na wspólne pacierze, na „menaż“ i na rekreacyę. Ale ten nasz ruchomy klasztorek na czterech kołach pustoszał, gdyśmy jechali z transportem rannych. Wtedy trzeba się było dobrze zwijać. Każdy z nas miał na swej pieczy jeden ambulansowy wagon z dziesięcioma łóżkami dla cięższej rannych. Lżej rannych i rekonwalescentów przewożono w ośmiu odpowiednio przyrządzonych zwyczajnych wagonach, przy których służbę pełnili żołnierze. Dzień i noc trzeba było przy chorych przepędzać,

spełniać wszystkie posługi, i wogóle być na każde ich zawołanie. W nocy wolno się było tylko „jednem okiem“ zdrzemnąć gdzie na krześle. Na taki gorący czas, dana już była z góry dyspenza od brewiarza, ale mszy św. i komunii trudno się nam było wyrzec. Gdy więc nasi chorzy zasnęli, schodziliśmy się w nocy do „klasztorku“, pozostawiwszy wrazie potrzeby pewną ilość braci dla czuwania przy nich.

Już o północy na zasadzie specyalnego pozwolenia odprawiać musiałem Mszę św. — jak w katakumbach, w tajemnicy przed „Dyoklecyanem“. Tak nazwaliśmy naszego komendanta. Był nim zacny ale pracą przeciążony a wskutek tego bardzo nerwowy i kapryśny sztabowy lekarz, major N. N. Czekaliśmy zwykle, aż patrol nocny przejdzie przez cały pociąg, i straż zostanie zmieniona. Niezapomniane wrażenie sprawiała taka Msza św. przy rytmicznym turkocie kół, wśród szczerej nocy odprawiana.

Po dniach wytężonej pracy następował niekiedy kilkudniowy odpoczynek. Niekiedy jednak zmieniał się on w przymusowe próżniactwo, gdy nie wiedząc kiedy i dokąd pojedziemy, czekać musieliśmy w pogotowiu na telegraficzne rozporządzenie z ministeryum wojny. Takie dni się najbardziej we znaki dawały. Nie było to w istocie bardzo zajmującem stać w pogotowiu całymi dniami wśród szeregu innych pociągów gdzieś na odległej towarowej stacyi Wiednia czy Budapesztu.

Mieliśmy wprawdzie ze sobą sporo książek z klasztornej biblioteki i wiele lektury od Czerwonego Krzyża dla żołnierzy — ale i najlepsza książka ma to do siebie, że się jej ma z czasem dość. Zwiedzanie zaś miasta było połączone z ryzykiem, że powróciwszy nie zastanie się już pociągu.

Pierwszy tedy transport, któremu towarzyszyłem składał się z rosyjskich inwalidów.

Wśród 250 Rosyan, było trzech Polaków.

Dla tych było naturalnie wielką pociechą, że się mogli po polsku rozmówić. Ale i Rosyanie byli bardzo wdzięczni za każde słowo wypowiedziane w ich mowie ojczystej, którą jako Królewiak posiadam. — Wogóle należy podnieść, że budowali oni wszystkich swoją pobożnością i jakąś religijną rezygnacyą. Każdego dnia po umyciu się (n. b. innym chorym nie przyszło nigdy do głowy umyć się rano) odprawiali poranne modlitwy, robili swe pokłony i żegnali się przytem wielkimi znakami krzyża, nie krępując się wcale obecnością innowierców. Powodowani naturalnym współczuciem, świadczyliśmy im chętnie — i my i żołnierze wszelkie usługi, jakich kalectwo ich wymagało. Znać było, że nie spodziewali się tego w kraju nieprzyjacielskim i dziękowoli szczerze za każdą drobnostkę. Według ich własnego świadectwa, było im dobrze przez cały czas pobytu w Austryi, ale się bynajmniej przytem nie taili z antypatyą dla Niemców. Droga nasza wiodła przez Saską Szwajcaryę niestety w nocy; potem dzień cały przez nieskończenie nudne piaszczy-

ste, lub bagniste równiny Zgorzelca, Brandenburgii i Pomorza. I znów jakby na złość, noc ukryła przed nami piękne pojezierze pomorskie. Do Stralsundu, ostatniej stacyi na lądzie stałym, przybyliśmy o północy. Nastąpiła interesująca przeprawa przez trzykilometrowej szerokośbi cieśninę. Pociąg nasz podzielony na kilka części, wjechał na ogromne transportowce.

Zawarczały głucho śruby, zadrżało na pokładzie, i znaleźliśmy się na morzu. Było tak spokojnie że w głębiach jego bez trudu odszukać było można wszystkie co do jednej gwiazdy.

Jakby z bajki wyjęta podróż nasza pomiędzy dwoma gwiaździstemi sklepieniami trwała około 20 minut. — Zachwyty nasze przerwał ordynarny, niski a ochrypły ryk: to syrena nasza witała w ten sposób brzeg przeciwległy. Chciałem zrozumieć czemu zawdzięcza instrument ten swą nazwę; głos jego przypomina bardziej ryczenie osła, niż czarujący śpiew syren. Nie miałem jednak czasu głębiej się zastanawiać nad tem ważnem pytaniem, bo oto potwór morski ryknął sobie znowu i równocześnie cisnął ze swych ślepiów dwoma snopami elektrycznego światła na przystań w Altefär, do której właśnie dobijaliśmy. Wnet umilkły śruby, ustalo lekkie drganie pokładu, statek się zatrzymał. — Stanęliśmy na prastarej, prasłowiańskiej ziemi, na Rugii. Wyspa ta była dla mnie od dzieciństwa — wyspą tajemniczą. Jej dawne podania i myty jej wykopaliska i groby naszych pobratymców z przed trzydziestu kilku wieków nęciły zawsze moją wyobraźnię. Rugia jest rzeczywiście dziwną wyspą. Linia wybrzeża powykrawana w najfantastyczniejszy sposób, mnóstwo zatok, półwyspów i przylądków i rozmaitość geologicznego podłoża doprowadziła badaczy do wniosku, że wyspa powstała z całego archipelagu wskutek podniesienia się dna morskiego. Do urozmaicenia wybrzeży przyczynić się jeszcze miały i lodowce, które na grzbietach swych przywiozły tu ze Skandynawii mnóstwo granitowych głazów narzutowych. W dawniejszej jeszcze epoce utworzyły się na dnie morskiem pokłady kredy pomięszanej z krzemieniem, które charakteryzują Rugię. Oba te minerały są, jak wiadomo wytworem mikroskopijnych pracowników morza. Przez tysiąclecia żyły obok siebie niezliczone myryady różnych ślimaków i okrzemek. Skorupki pierwszych opadały na dno tworząc kredę, szkielety zaś okrzemek układały się do wiekowego spoczynku obok nich, wypełniały wszystkie próżne miejsca, łącząc się w zbitą masę krzemienną. W ten sposób powstawały całe głazy krzemienia, zawierającego żyły kredowe. Na wybrzeżach znajdywaliśmy mnóstwo brył krzemiennych nawskrós podziurkowanych, jak gąbka, bo fale morskie wypłukały z nich miękką kredę. Najlepiej wyszły na tem rozmaite mięczaki, które nie pytając o geologiczne procesy, usadowiły się w najlepsze w owych wydrążonych korytarzykach i krętych labiryntach. Znaleźć tam też można bardzo wiele skamieniałości, jak oto: jeżyki morskie, belemity, (czyli t. zw. strzałki piorunowe) sepie etc.

Obfitość krzemienia dała pra-pradziadkom dzisiejszych Rugijczyków możność wyrabiania przedmiotów codziennego użycia (noże, toporki, igły i t. p.) nie tylko dla siebie ale i na wywóz. Obiecywałem sobie wiele ciekawych zabytków oglądać w prywatnem „muzeum rugijskiem" w Sośnicach. Niestety zastałem drzwi zamknięte, bo właściciel z obsługą wyjechał na wojnę.

Powierzchnia Rugii wynosi 967 km. kw., t. j. mniej niż przeciętny powiat galicyjski. Tymczasem linia wybrzeży wyprostowana (573 km.) wystarczyłaby prawie od Lwowa do Wiednia.

Wystarczy na mapie Rugii przeczytać parę nazw, by zauważyć, że brzmią one wcale nie z niemiecka. Mimo widocznej tendencyi zatarcia śladów pochodzenia, słychać w nich pierwiastek swojski. Niektóre zaś wyglądają tak, jak gdyby je żywcem z Polski przeniesiono i z lekka zaledwie obcym powleczono pokostem. W „Bobbinie" każdy się łatwo domyśli czysto-słowiańskiego Bobina; w nazwie wioski „Krakow" wystarczy dodać jedną kreskę, a natychmiast przed oczami duszy nam stanie kościół Maryacki, Sukiennice, Wawel. — Cisów przerobiono — zapewne w celach kultury — na Thiessow; Strzeszów, na Stressov; Sławkowice — na Schlawkewitz; Gorysław na Gorzlau. W ciekawy sposób objaśniają sobie niektóre przez szeregi stuleci zdeformowane nazwy. W środkowej Rugii n. p. leży miasteczko Putbus, gniazdo książęcej rodziny tegoż imienia. Etymologicznie ma to oznaczać „pod wąs", co znów stoi w związku z faktem, że za pogańskich czasów tylko wybitne osobistości miały prawo nosić zarost na wzór Światowida i jego arcykapłana. Tak nas poucza niemiecki przewodnik. Bogusławski zaś w „Dziejach Słowiańszczyzny" utrzymuje, że Putbus brzmiało przedtem „Podbórz" i przytacza genealogię „comites Podbórzcy".

Trudno mi się oprzeć pokusie, by choć w naszym kwartalniku nie przywrócić dawnego brzmienia tym miejscowościom, o których mi wspomnieć przyjdzie.

O pierwotnym języku Rugian niepodobna sobie dziś wyrobić dokładnego pojęcia. W roku 1904 zmarła na wyspie ostatnia staruszka, która jeszcze tego języka używała. Potem przyszła niemczyzna. Ale jeszcze przed kilkudziesięciu laty byli tam, jak mi opowiadano, starzy ludzie, wtrącający do niemczyzny słowa, już dla otoczenia niezrozumiałe.

Przejechaliśmy koleją w poprzek całą Rugię aż do Sośnic (Sassnitz). Stamtąd Moskali naszych zabrał parowiec szwedzki, aby ich odwieźć do „matuszki Rossyi", o której się przez drogę z pietyzmem i z widoczną tęsknotą wyrażali.

Wkrótce po przybyciu udaliśmy się do portu, aby witać naszych inwalidów, którzy przez Sztokholm wracali z rosyjskiej niewoli. Przed ustrojonym dworcem portowym zastaliśmy już wyorderowanych przedstawicieli władz, różne delegacye i tłum ludności. Gdy wiozący przy-

byszów statek Aeolus przepłynął obszerną portową bramę, niemiecka orkiestra wojskowa zagrała Haydenowski hymn narodowy. Potem nastąpiły kolejno hymny szwedzki, niemiecki i znów austryacki. Tymczasem Aeolus stanął u brzegu. Nim jednak zarzucono pomosty, powitał przybyłych krótką przemową przedstawiciel najdawniejszej arystokracyi rugijskiej, książę Putbus. Szkoda, że ani słówkiem nie wspomniał o Ojcu św., którego inicyatywie tysiące inwalidów różnych narodowości zawdzięcza powrót do ojczyzny.

Po mowie sprowadzono lub znoszono przybyłych inwalidów z wielką serdecznością do wielkiej sali, zbitej w stylu barakowym z desek, gdzie przygotowanym był dla nich podwieczorek. Tegoż samego dnia zabrał ich w dalszą drogę inny pociąg lazaretowy, który przed nami przybył. Mieliśmy przed sobą parę dni oczekiwania na nowy transport. Czas ten postanowiliśmy naturalnie jaknajlepiej wyzyskać dla poznania okolicy. Przed tem jednak musieliśmy nasze wagony poddać dezynfekcyi i do porządku je przyprowadzić, co kosztowało zawsze dużo czasu i pracy. Wogóle dezynfekcyą często nas trapił nasz komendant, po każdym niemal transporcie. Chciał widocznie pociągowi naszemu zachować opinię „wzorowego“, jaką się słusznie czy niesłusznie u władz cieszył.

Załatwiwszy wreszcie służbowe obowiązki, zebraliśmy się wszyscy nad dokładną mapą wyspy, by obrać najkrótszą drogę do Stubbenkammer. Miejsce to słynne z pięknego położenia, leży 9 klm. na północ od Sośnic. Różnie sobie tłómaczą jego nazwę: Stupen - ke - mori (stopień ku morzu) lub Stupen - kamen. Najwyższy punkt w Stubbenkammer nazywa się Königsstuhl; tam podobno królowie Rugii przyjmowali homagium od poddanych. Inni przypuszczają, że nazwę tę zawdzięcza jedynie wspaniałemu swemu położeniu. Nie lubię przesady i sztucznych zachwytów w opisach podróży. Ale tu nie minę się z prawdą, gdy powiem, że widok, jaki się tu niespodzianie odkrywa, jest czarujący. Gdyśmy u celu stanęli, ucichły nagle nasze rozmowy, choć nikt milczenia nie nakazał. Umilkliśmy przed majestatem, w jaki się tu natura przybrała. Przypomniały mi się krótkie a tak mocne słowa pielgrzyma krymskiego:

To Czatyrdach — „Aa...“

Bo tutaj i Mickiewiczowi zabrakłoby słów. Wszyscy się zgadzają, że ten skrawek wybrzeża jest najpiękniejszym na całej wyspie, tak przecie bogatej w piękności przyrody. Śnieżnie białe kredowe skały i przylądki, rozmaita zieleń liściastych, przeważnie bukowych lasów, a nadewszystko nieskończona dal morza, składają się na jedyną w swoim rodzaju panoramę. Mimowoli zginają się kolana i uczucie wdzięczności podnosi duszę ku Stwórcy, który tak ludziom ozdobił miejsce doczesnego pobytu.

Z miejscem tem związane są liczne tradycye. 200 lat temu Karol

XII. obserwował z tych przylądków fatalną dla siebie bitwę morską z Duńczykami.

Na północny zachód, w odległości około 20 km. majaczeją zarysy Arkony. Linia morza, biegnąc od tego przylądka na południe, zajmuje więcej niż pół widnokręgu.

Kto pierwszy raz widzi morze, doznaje niekiedy zawodu. Gdy oko nie znajduje punktu oparcia na jakim odległym statku lub żaglu rybackiej łodzi, nie ma się wrażenia nieskończoności, na jakie się było przygotowanym. Widzi się tylko wielki wał wodny, jakby wydmę jakąś, która się tępo kończy na horyzoncie. Ale ze szczytu kredowych skał mogliśmy dobrze ocenić niezmierną odległość widnokręgu, bo liczne statki spieszyły w różnych kierunkach, zostawiając po sobie dwa równoległe idące ślady: szeroką bruzdę na wodzie i warkocz dymu w powietrzu. Na samym zaś krańcu widnokręgu, na idealnie prostej linii pomiędzy morzem a niebem bielał nieruchomy, dla oka ogromny transportowiec szwedzki, który codzień dwukrotnie przewozi pociągi pomiędzy Sośnicami a Trellborgiem.

Dziesięć minut drogi od Stubbenkammer leży jezioro Herty. Legendę o tej bogini opowiedzianą przez Tacyta, przywiązano z czasem do tego miejsca. Istotnie ma w sobie coś tajemniczego to ciche i czarne jeziorko, rozłożone u stóp starego zamkowego wału. Na pobliskiej rozległej łące pasło się liczne stado krów, opatrzonych w dzwonki, a koncert, jaki one dają, słychać nad jeziorem, co dodaje jeszcze romantyczności. Bardzo ma być niebezpiecznem dotknięcie się wód jeziora: zginie, kto się na to odważy, bo rozgniewana boginka wciągnie śmiałka do wody i utopi bez pardonu. Byłem tak zuchwały, że pogrążyłem rękę w wodzie, by dno torfowe zbadać. Widocznie jednak Herta czem innem była wtedy zajęta, czy też może się zasłuchała w krowi koncert — nie wiem — dość, że nie licząc mokrej ręki wyszedłem z przygody na sucho.

Po obu stronach Stubbenkammer brzegi są dzikie i nieprzystępne. Wracając leśnemi ścieżkami co chwila obchodzić musieliśmy głębokie i ciemne wąwozy, dnem których sączą się ku morzu nikłe strumyczki. Kamieniste i strome brzegi, a bardziej jeszcze bujna roślinność tych tajemniczych parowów i uroczysk nęciły mnie ku sobie.

Napewno wzbogaciłbym tam swój zielnik ciekawymi okazami, a na kredowych i krzemiennych osypiskach niejednaby się znałazła skamieniałość.

A kto wie — gdyby tak szczęście sprzyjało, możnaby nogą natrafić na skrzynkę ze skarbami, zapomnianą przed pół tysiącem lat przez korsarzy, którzy w tych właśnie rozpadlinach i jarach wyborne mieli kryjówki dla swych łupów. Lecz na to wszystko nie pozwolił nam czas. Słońce chyliło się już ku morzu — a przed nami potężny jeszcze szmat drogi!

Pospiesznym marszem mijaliśmy wśród lasu od zamierzchłych czasów leżące głazy, „dyabelskie kamienie“, „Oltarze ofiarne“ i t. p. Do każdego z nich przywiązana jakaś legenda. Co chwila otwierał się wciąż nowy widok na morze, które się już całe paliło w ogniach zachodzącego słońca. — Do Sośnic wróciliśmy późnym wieczorem. Wnet też ułożyliśmy się do spoczynku w naszym wagonie, który mi przypomniał: „sławny wóz Drzymały“.

Pociąg stał tuż nad brzegiem. W nocy obudził mnie blask latarni morskiej, która bardzo malowniczo wygląda „przy pracy“. Rzucona z jej szczytu smuga silneg› światła, jakby wskazówka olbrzymiego zegara, ślizgała się obrotowym ruchem po powierzchni wody. Równocześnie widać było, jak nadpływające do portu okręty już z daleka sygnalizowały swe przybycie różnobarwnem światłem. Nazajutrz od samego rana wiał silny wiatr od morza, które też było dość wzburzone. Niema milszego, „dolce far nieute“ jak patrzeć z brzegu na falujące morze! Jak nieskończone szeregi wojska wynurzają się z oddali wały wodne, i biją w granitowe niebo. Gdy odbita fala spotka się z nadchodzącą, powstaje niekiedy cały pagórek wodny, który z hukiem uderza o brzeg, wyrzuca pienistą rakietę kilkometrowej wysokości, ale w tejże chwili rozpada się i zawstydzony swą bezsilnością, ucieka w strumykach od niezdobytej fortecy. Podczas silnej fali zlewają się poszczególne uderzenia w przeciągły grzmot, już z daleka słyszany.

Pomimo wzburzonego morza, używaliśmy kilkakrotnie kąpieli, połączonej z połowem ciekawych wodorostów. Najbardziej zaś charakterystyczne kamienie, na wybrzeżu lub w kopalniach kredy przez nas znalezione, znajdują się już w muzeum praskiem.

Po trzydniowym postoju w Sośnicach, jużeśmy się byli zabrali do przystrojenia pociągu na przybycie austryackich inwalidów, gdy przyszła depesza, że nie przyjadą „bo w Rosyi rewolucya i pociągi nie chodzą“. Żal nam było tych ludzi, którzy się daremnie cieszyli na powrót do ojczyzny. Zaraz też zapowiedziano nam, że mamy być w pogotowiu — bo o 4 popoł. wyjeżdżamy z powrotem. Ciężko mi było żegnać Rugię, zapewne na zawsze, nie zobaczywszy najciekawszych na niej pamiątkowych miejsc. Do tych należy bezsprzecznie Arkona i półwysep Radowicki. Może nie znudzę mych kochanych kolegów chyrowskich, poświęcając obu tym miejscom treściwe wzmianki.

Arkona niegdyś siedziba Światowida, a przez to centrum religijnego życia dla całej Słowiańszczyzny pobałtyckiej — leży na północnym cyplu Rugii (półwysep Witowski).

Czem wyrocznia delficka dla Grecyi, tem była świątynia arkońska dla Słowian północnych. „Odpowiedzi Światowida były prawdziwsze od innych wyroczni słowiańskich; on — największy ze wszystkich bogów“ Tak pisze o ówczesnych przekonaniach Helmold, proboszcz w Buzowie (dzisiejsze Bosau) († 1177) we wschodniej Holsztynii, która wtedy była

jeszcze słowiańską. Nawet Chrześcijanie mieli niekiedy zabobonny strach przed tym „zwycięskim bogiem światła“. Król duński Svento III. tak miał respekt dla niego, że mu ofiarował puhar ozdobny.

Ze wszystkich stron dążyły na Rugię pielgrzymki z bogatemi ofiarami. W kronice wspomnianego Helmolda, Rugijczycy nazwani są „dzielnym szczepem słowiańskim, który sam tylko jeden ma króla“. Inne szczepy miały książąt. Ale Arcykaplan Światowida, tłómacz woli jego, więcej jeszcze znaczył niż król. Olbrzymi posąg bożka o 4 twarzach, stał w miejscu „najświętszem“, oddzielonym bogatą zasłoną od reszty świątyń. Lewą ręką trzymał się pod bok, we wzniesionej zaś prawicy miał róg metalowy. W doroczne święta dożynków wyjmował mu arcykapłan róg z ręki, wylewał zawarte tam wino u stóp posągu — poczem nalewał nowego. Z ilości pozostałego w rogu przeszłorocznego wina wróżono o urodzaju na rok następny. Wierzono święcie, że każdego wieczora bóg bierze na się zbroję, dosiada konia i wyjeżdża na całą noc zwalczać potęgi ciemności. Żaden śmiertelnik tego nie widział, wiadomo tylko było, że rano był koń kurzem i potem pokryty.

Obyczaje Rugijczyków były szlachetne i łagodne. Trudnili się uprawą roli, lecz handel śledziami był, jak i dziś — głównym źródłem dochodu. Niesłusznie robią im z tego zarzut, że byli rozbójnikami morskimi. Poszli w tem jedynie za przykładem swych chrześcijańskich — a raczej tylko ochrzczonych sąsiadów, jak również „raubritterów“ niemieckich. Wkrótce prześcignęli swych mistrzów w korsarstwie i stali się postrachem Bałtyku. Na ich korzyść i to jeszcze zanotować można, że im niekiedy nic innego nie pozostawało, jak grabież. Wyspę ich niejednokrotnie pustoszyli — często z rozmysłu w czasie żniw, — apostołowie mieczowi, Duńczycy lub Niemcy próbując siłą narzucić im chrześcijańską wiarę. Nie dziw, iż w Bogu chrześcijańskim widzieli tylko — boga niemieckiego, groźnego mocarza, przeciwnika ich narodu. Bronili się zaciekle wśród swych trudno dostępnych przylądków i często się woda morska krwią ich wrogów czerwieniła. Ale wreszcie przyszedł koniec. Upadek pogańskiej Arkony przypomina poniekąd tragiczny koniec Kartaginy. Król duński Waldemar postanowił zadać ostateczny cios upartemu w pogaństwie szczepowi. Wiosną 1168 r. wybrał się na czele swych wojsk pod Arkonę. Była ona już ostatnią ostoją pogaństwa wśród Słowian. W wyprawie wzięli też udział Sasi i pomorscy Słowianie. Rugijczycy nie czynili wielkich przygotowań do obrony, tak byli pewni siebie. Wszakże ich Światowid i z najcięższych opałów wychodził zwycięsko.

Po 3-tygodniowem oblężeniu udało się Duńczykom podpalić jedną, z drewnianych wież fortecznych. Oblężeni rzucili się do ratowania, a gdy nie stało wody, gasili ogień mlekiem. Przez to jednak pożar jeszcze się rozszerzył, co widząc Duńczycy uderzyli do bitwy. Załoga Arkony walczyła po bohatersku, ale wnet zmiarkowali wszyscy, że

walka z podwójnym wrogiem daremna. Wielu rzucało się z rozpaczy w ogień, nie chcąc przeżyć końca swej narodowej i religijnej świętości. Nie brakło jednak rozważniejszych, którzy doradzali układy — póki czas. Wysłano poselstwo do Waldemara, i zawarto pokój. Rugijczycy zgodzili się wydać posąg Światowida, cały skarb świątyni i jeńców, i przyjąć wiarę chrześcijańską. Wojsko duńskie chciwe zemsty i łupu protestowało przeciw takiemu zakończeniu wojny, groziło nawet buntem, ale Waldemar się nie uląkł. Dobrymi doradcami jego byli prymas i dwaj biskupi, którzy w wyprawie udział wzięli.

W pamiętnym dniu 15. VI. (dzień św. Wita, męczennika) wysłał Waldemar swych ludzi do twierdzy. Przybywszy do świątyni, najpierw usunęli „świętą zasłonę", która się sama rozpadła za dotknięciem, tak była zbutwiałą od starości. Zaczęli wtedy podcinać nogi nieszczęsnemu bożkowi. Tłum pogan stał dookoła z zapartym tchem. Jedni już byli zwątpili w jego moc, inni czekali jeszcze znaku z nieba. Wiedzieli o tem Duńczycy i ostrożnie pracowali, by się przy rąbaniu nie skaleczyć, coby bezwątpienia wzięto za karę boga. Wreszcie posąg runął na wznak. Rozkazano poganom zarzucić nań powrozy i zawlec go do obozu duńskiego. Ale żaden się na to nie odważył. Duńczycy sami musieli ostatniemu z bogów słowiańskich tę ostatnią przysługę wyświadczyć. W obozie rozrąbano go na polana i aby okazać nicość pogańskich bałwanów, ugotowano przy nich wieczerzę! Z drzewa zaś nagromadzonego do zbudowania oblężniczych maszyn, postawili Duńczycy pierwszy na wyspie kościółek.

Ze skarbca zabrano 7 skrzyń pełnych pieniędzy. Znaną jest opowieść o „chrzcie Światowida". Nie łatwo było wykorzenić wśród nowoochrzczonych cześć dla Światowida, która się przez szeregi pokoleń zrosła niejako z duszą słowiańską. Duchowieństwo wpadło więc na pomysł, aby ten kult zwrócić w chrześcijańskim kierunku. W tym celu podsunęli narodowi cześć świętego Wita, korzystając z podobieństwa mion i z daty zniszczenia świątyni (15. VI). Pobożny fortel udał się tak dalece, że święty ten, którego grób na słowiańskiej ziemi leży (katedra w Pradze) stał się popularnym wśród Słowian. Świadczy o tem i wielka liczba przysłów kalendarzowych, dotyczących tego męczennika. Mniej prawdopodobną wydaje się inna wersya, według której Rugijczycy jeszcze za czasów Karola Wielkiego przez saskich Benedyktynów z opactwa św. Wita ochrzczeni zostali, lecz potem do pogaństwa wrócili. Cześć jednak świętego Wita zachować mieli a nawet wystawiwszy mu świątynię w Arkonie, obrali go sobie za boga. Niektóre chrześcijańskie pierwiastki pozostały jeszcze w ich charakterze, dzięki czemu lepszymi byli od innych pogan: nie znali kradzieży, wysoko czcili rodziców, opiekowali się troskliwie ubogimi etc. Tę drugą wersyę powtarzają chętnie protestanci, upatrując w niej argument przeciwko kultowi świętych, który rzekomo do bałwochwalstwa prowadzi.

Pożegnajmy teraz naszego poczciwego bożka i jego Arkonę, a nim opuścimy Rugię, przerzućmy się na chwilkę na jej przeciwległy, południowo-wschodni koniec. Znajdziemy się na półwyspie radowickim [1]).

Tu przechowało się jeszcze najwięcej śladów słowiańskiego pochodzenia. Mieszkańcy, przeważnie rybacy, nazywają siebie „Rebaken“. Mowa ludu jest tu śpiewna i przeciągła; słychać w niej jeszcze tu i ówdzie czysto słowiańskie wyrazy n. p. Bóg, niebo, perekop, woda. Ubiór meżczyzn przypomina krojem kujawskie granatowe kapoty, kobiety noszą barwne gorsety, podobne do krakowskich. Cały ten półwysep należał niegdyś do cysterskiego opactwa Eldena, skąd też i nazwa jego dzisiejsza Mönchsgut pochodzi. Cystersi mieli wogóle liczne na wyspie siedziby, i położyli wielkie zasługi dla jej ucywilizowania. Pseudoreformacya skasowała wszystkie ich klasztory.

Całą powrotną drogę przez wyspę spędziłem przy oknie. Mijając Góry (Bergen, stolica Rugii) i Kraków (wioska 2 kilom. na połud. od Gór) oglądaliśmy zagadkowe groby wendyjskie, zwane tu Hünnergräber. Jest ich na Rugii wiele. Są to ogromne kopce, kryjące w sobie obszerne komory, wyłożone kamieniami. W tych, jakie rozkopano w celach naukowych lub rabunkowych; — znaleziono kości, popielnice, broń i różne narzędzia — niekiedy nawet złote. Nigdzie jednak ani śladu jakiegoś pisma.

Ciekawość i chciwość ludzka groziła tym grobom zagładą. Ocalały jedynie dzięki rządowi pruskiemu, który przed kilkudziesięciu laty zabronił ich rozkopywania.

Jechaliśmy do Lutomierzyc (w Czechach), aby zabrać Węgrów z tamtejszych szpitali, i przewieźć ich do ojczyzny. Po drodze podziwialiśmy w Saksonii mnóstwo samolotów. Jedne tkwiły gdzieś na zawrotnych wyżynach pod obłokami, inne ścigały się z naszym pociągiem lub różne ćwiczenia odbywały nad okolicą. Z Czech wiodła nasza droga przez Wiedeń do Budapesztu. Wszędzie witano naszych bohaterskich Madziarów z zapałem. Przyjazd do Wiednia był prawie tryumfalnym. Na widok ustrojonego zielenią i chorągiewkami pociągu Czerwonego Krzyża, ukazywały się w oknach wszystkich pięter powiewające chustki, przechodnie odkrywali głowy i wymachiwali kapeluszami. Na dworcach po drodze — i we Wiedniu częstowano inwalidów owocami, czekoladą, papierosami etc. — Za Wiedniem nie było już tylu owacyi, zaczęła się uciążliwa część podróży. Z powodu masowych transportów wojskowych musieliśmy co chwila przystawać i godzinami czekać aż się linia do następnej stacyi otworzy. Wskutek tego podróż z Wiednia do Budapesztu wlokła się 22 godziny.

W stolicy Węgier czekaliśmy kilka dni na dalszą komendę. Wreszcie

---

[1]) od wsi klasztornej Radowice (Reddewitz).

wysłano nas przez Debreczyn i Marmarosz do Kołomyi, skąd mieliśmy nową partyę rannych przewieźć do wielkich lazaretów barakowych w Munkaczu. Pierwszy raz w życiu jechałem przez węgierską pusztę. Słowo to oznacza pustynię — bo cała ta rozległa równina była wielokrotnie pobojowiskiem, a po krwawych zapasach między Węgrami, Turkami a Tatarami, nie pozostało tu nic prócz zgliszczów wsi i miast. Przez długie potem lata była to rzeczywista pustynia — bezludna i bezdrzewna. Dziś widzi się tam po drodze przeważnie liczne stada bydła na rozległych, jak stepy pastwiskach. Miejscami ziemia jest bardzo urodzajna, i tam ciągną się winnice lub kukurydziane pola. W Marmarosz, który tak często wspominano w gazetach podczas inwazyi, spotkaliśmy pierwsze ślady po Rosyanach: zniszczony dworzec kolejowy. Dalej było ich trochę więcej: kominy spalonych chat, osmalone mury jakiejś fabryki. Zresztą zniszczenia tu nie wiele, bo Moskale nie chcieli wychodzić z roli wybawców „z pod austryackiego jarzma". Za to często w pobliżu kolei ciągną się rowy strzeleckie i kolczaste druty przygotowane na wypadek, gdyby ci wybawcy jeszcze raz zapragnęli szczęścia spróbować. Zostało ich tu jeszcze sporo, na każdej prawie stacyi widzieliśmy jeńców rosyjskich przy pracy.

Droga była bardzo malownicza. Od północy biało-różowe od wczesnego śniegu szczyty karpackie, bliżej lasy i skały. Szkoda, że nasza lokomotywa rwała tak szybko naprzód i sapiąc pracowicie swemi żelaznymi płucami mijała obojętnie te piękności. Od stacyi Huszt jechaliśmy wciąż doliną Cisy aż do jej źródeł; trochę dalej na północ przyłączył się do naszego towarzystwa Prut, płynąc w dalszym ciągu tą samą doliną. Na jednej stacyjce uderzył me oczy swojski widok: jakaś mizerna wydłużona postać, sakpalto do kostek, koło uszu loczki, — słowem — żydek. Był to znak, żeśmy właśnie minęli galicyjską granicę; takie było me powitanie z Polską, od długich lat nie widzianą.

Z Kołomyi zabraliśmy prawie wyłącznie Węgrów, to samo było i podczas następnych kilku transportów. Ostatni, w którym uczestniczyłem, był z Munkacza do Wiednia. Pociąg nasz brał w zwykłych warunkach najwyżej 280 rannych, tym razem napakowano do tej samej ilości wozów ze 400, mieli więc biedacy niewygodę, a my ciężką służbę. Gdyśmy z miejsca ruszyli, przeszedłem wzdłuż cały pociąg, by nowych towarzyszów podróży zobaczyć. W jednym z wozów leżał z ogipsowaną nogą, dziwny wojownik: Głowa owinięta w chuścinę, a w niej powtykane dookoła pomarszczonej twarzy mnóstwo kwiatów. Z pośród tych kwiatów patrzyły na mnie, jakieś wcale nie żołnierskie, siwe, gołębie oczy: tak poczciwie patrzeć umie tylko polska wieśniaczka. Rzeczywiście — była to sześćdziesięcioletnia włościanka Marya Konfederat z Zarudzia, w pobliżu Zborowa, gdzie posiada 6-morgowe gospodarstwo. Zagroda ich leżała na linii bojowej, wojsko nasze szykowało się właśnie do bitwy. Nasza bohaterka roznosiła żołnierzom mleko,

wtem spostrzegła ją rosyjska piechota — i za chwilę babina leżała już ze strzaskanem kolanem. Dowlokła się do chałupy, gdzie przebiedowała 2 dni w samotności, bo wszyscy pod ziemią szukali bezpieczeństwa przed pociskami. Wreszcie po różnych przygodach dostała się do lazaretu w Munkaczu, a teraz jedzie sobie wśród kwiatów do Wiednia jako rekonwalescentka. Węgierskie siostry Czerwonego Krzyża, bardzo ją polubiły, one to ją tak przystroiły na pożegnanie. I w naszym ruchomym lazarecie stała się odrazu pierwszą osobą. Każdy przysłużył się jej chętnie jakim owocem, kawałkiem placka lub t. p.

Jednostajność podróży urozmaicili nam Madziarzy. Niemasz weselszych ludzi nad węgierskich żołnierzy! Wesołość ta — raz jest dziecinna, drugi raz studencka, lub jakaś dzika kozacka. Jeden przez drugiego szwargotali bez ustanku w swym twardym języku; od czasu do czasu wyrywały się z tej wrzawy słowa: „Moskale zabrali“ — poczem stale następywała nowa salwa śmiechu. Wyrazów tych nauczyli się w Galicyi, słysząc je często od chłopów, którzy się w ten sposób bronili od wydania zapasów żywności.

Był to koniec października, a zatem krótko przed ofenzywą w Serbii. Mnóstwo też pociągów pędziło na południe przez równą jak stół pusztę. Jedne wiozły żołnierzy, inne amunicyę, treny lub armaty — nowiutkie, całe żółte, mosiężne, żadnego jeszcze zabójstwa na sumieniu nie mające.

Wśród dążących na plac boju, znów się Madziarzy wyróżniali szalonym wprost entuzyazmem. Z takimi lepiej być w zgodzie! Jakże strasznie muszą oni w czasie bitwy wyglądać, — jeżeli oznaki ich radości i przyjaźni mogłyby niejednemu strachu napędzić! Przy mijaniu się z nami nie było końca pozdrowieniom i zarazem pożegnaniom — może na zawsze! Ale wtedy żaden o tem nie zdawał się myśleć. Wielu powłaziło na dachy i tak jechali śpiewając „Rakoczego“.

Wieczorem d. 29. X. uderzyła nas głucha wieść, że gdzieś w pobliżu lazaretowy pociąg spotkał się z jakimś trenem, przyczem około stu rannych miało ponieść śmierć. Było to dla nas silnem „memento mori!“.

Gdy się wszystko po kolacyi uciszyło, gdy nawet madziarskie bractwo umilkło, wreszcie i usnęło — można było pomyśleć o własnym posiłku i usiąść z „menażką“ gularzu przy świetle gwiazd na stopniach swego pędzącego wagonu. Nie myślę, aby który z milionerów miał kiedy milszą i oryginalniejszą kolacyę!

W Wiedniu musieliśmy się trochę dłużej zatrzymać, aby pociąg nasz w piece zaopatrzyć i inne przygotowania na zimę uczynić. Tu była ostatnia stacya mego cygańskiego życia, inny z naszych ojców miał przybyć — a ja z radością wracałem do regularnego i „porządnego“ życia klasztornego. Swoją drogą nijako mi było opuszczać mych współbraci. Teraz właśnie mieli jechać ku Włochom, pod sam front, gdzie z blizka słychać grzechot karabinów, gdzie w nocy trzeba światła gasić w pociągu, by go samoloty włoskie nie bombardowały.



W OKOPACH.

Wiadomości o dawnych Kolegach.

Dział ten naszego pisemka musimy w tym zeszycie przenieść na początek, gdyż jak słusznie zauważył jeden z dzienników, wojna zajęła karty spokojnej dawniej korespondencyi przyjacielskiej. (Gazeta wieczorna z 19. grudnia w artykule: „Chyrowiacy w Legionach"). Następnie w ten sposób już nie braknie miejsca dla cennych listów, pisanych przez Chyrowiaków przeważnie ołówkiem w okopach, kadrach i szpitalach.

Najpierw podajemy spis Chyrowiaków, którzy służą lub służyli w armiach lub Legionach; adresów jednak z powodu ciągłych zmian nie podajemy, aby nie wprowadzać nikogo w błąd, natomiast prosimy Kolegów o nadsyłanie ich do redakcyi, oraz o sprostowanie zauważonych błędów i dopełnienie listy służących w wojsku Chyrowiaków.

Nazwiska ś. p. poległych oznaczamy krzyżykiem, literą n. wziętych do niewoli, r. = rannych, ch. = ciężko chorych, którzy byli w szpitalu, wreszcie o. = odznaczonych; zastrzegamy się jednak, że uwagi te są niedokładne, bo wiele szczegółów do naszej wiadomości nie doszło. Pomijamy też zupełnie w tym spisie stopnie wojskowe dla wyżej przytoczonych powodów.

Służyli lub służą w armiach:

Abgarowicz Józef †
Dr. Abraham Roman
X. Antoniewicz Józef T. J.
Antoniewicz Maryan
Dr. Ausobsky Józef o.
Axentowicz Filip †

Balicki Gustaw
Balicki Roman
Bański Adam
Barański Jan
Bardecki Antoni
Baron Alfons
Berezowski Wiktor
Białogórski Adam
Bielecki Józef
Dr. Bielecki Adam r. o.
Bielecki Maryan
Bieliński Władysław (w. ros.)
Biliński Kazimierz
Biliński Władysław r.
Birkenmayer Alfred ch.
Birkenmayer Roman r.
Birkenmayer Józef
Bohosiewicz Leopold †
Borzemski Kazimierz
Braunek Teodor (w. niem) r. 2.
Breza hr. Edward
Bubeniczek Romuald n.
Dr. Buzath Stanisław
Chobrzyński Stanisław
Chrzanowski Henryk
Ciechulski Stanisław
Cieszewski Maryan
Cieszewski Zbigniew
Cywiński St. Ignacy o.
Cywiński Janusz o.
Inż. Cywiński Rafał o.
Czapliński Emil r. o.
Czauderna Tadeusz ch.
Datka Mieczysław
Dąbrowski Bronisław
Dembowski Tadeusz
Dębicki Maryan r. o.
Dębicki Zygmunt
Deskur Jan o.
Deskur Jerzy
Dobrowolski Zbigniew
Duczyński Julian
Dunikowski Bolesław
Dunikowski Stanisław
Dunikowski Stefan o.
Dutkiewicz Marceli
Dzierżanowski Andrzej †
Dziubaniuk-Wiśniewski Karol
Elterlein Seweryn
Epler Adam r. ch.
Faff Maryan ch.
Fischer Zygmunt
Głębocki Jan
Goltental Ludwik
Gołębski Jan
Dr. Gołba Józef n.
Gołębski Marceli
Gołębski Stefan
Gołębski Roman
Gońka Józef
Groblewski Zygmunt
Grocholski Kazimierz
Grocholski Stefan (w. ros.)
Gromnicki Adam
Gromnicki Kazimierz
Heller Władysław
Hempel Jan
Henisch Alexander
Henisch Tadeusz
Hinzinger Gustaw
Hinzinger Władysław
Hohendorf Jerzy ch.
Hołyński Józef †
Hołyński Tadeusz
Homik Józef
Hornung Mirosław
Horodyński Dominik
Horodyński Zbigniew n.
Inż Jackowski Władysław
Jakubowski Henryk
Jakubowski Maciej
Jakubowski Stanisław o.
Dr. Januszkiewicz Władysł.
Dr. Jarzymowski Wojciech r.
Jezierski Adam
Dr. Jezierski Stanisław
Kalisz Alfred
Kalkstein Kazim. (w. niem.)
Kałuski Jerzy
Kamieński Wiktor
Kamieński Władysław
Karasiński Jan
Karski Wincenty (w rosyjsk.)
Kieszkowski Kazimierz
Kirchmayer Kazimierz
Knauer Kazimierz
Dr. Kobylański Alexander
Kogucki Stanisław
Kolb Otton
Konopka Władysław
Komornicki Bronisław
Kopecki Jerzy
Kopecki Stefan
Korewicki Włodzimierz
Korwin Maciej
Korzeniowski Władysław

Korzeniowski Zbigniew
Koszko Antoni
Koszko Stanisław
Inż. Koszko Władysław
Kotarski Stefan
Kotarski Władysław
Inż. Kowalewski Kazimierz o.
Kowalski Tadeusz
Dr. Kownacki Bolesław
Kraiński Antoni
Krasnopolski Michał
Inż. Krobicki Bronisław
Dr. Kropiński Adam
Kruczek Mieczysław
Krzyszkowski Tadeusz
Krzyżanowski Mieczysław
Kucharski Antoni
Kuczabiński Jan n.
Kuczkiewicz Stanisław
Kusina Stanisław
Kusiba Bogumił n.
Kwiatkowski Ferdynand
Kwiatkowski Józef
Lapka Józaf r. o.
Ledóchowski hr. Antoni
Leitner Konrad
Leszczyński Witold
Liwiński Stanisław n.
Linderski Henryk
Lipiński Stanisław †
Lipowski Adam n.
Lipski Mieczysław
Liwicki Ryszard
Lubaczewski Jan
Lubaczewski Tadeusz r.
Ludwig Stefan
Łobaczewski Wawrzyniec ch
Dr. Stanisław hr. Łoś
Dr. Zygmunt hr. Łoś
Łubieński hr. Tadeusz o.
Łubkowski Adam
Łubkowski Juliusz
Łubkowski Stefan
Łysakowski Alexander
Łysakowski Waleryan
Dr. Maciejowski Karol
Majewski Bronisław
Majewski Emilian
Makohoński Konstanty
Maniewski Roman
Marcinkiewicz Stanisław
Masłowski Tadeusz r.
Inż. Matkowski Jan
Mencel Stanisław
Mencel Tadeusz
Miczyński Zygmunt
Mięta-Mikołajewicz Wład.
Mikucki Tadeusz
Mikucki Witold
Mikułowski Jan
Mikułowski Stanisław
Miński Józef
Miszkiewicz Franciszek
Dr. Morawski Karol
Mościcki Kazimierz
Mosiewicz Adam
Mühlner Edmund
Mysłakowski Antoni
Inż. Nahlik Wiktor
Nartowski Zygmunt
Nawrocki Władysław
Niewiadomski Jerzy
Niewiadomski Stanisław
Obertyński Krzysztof
Obertyński Maryan o.
Obertyński Stanisław r.
Obmiński Adam
Olszański Alexander
Inż. Olszański Stanisław
Orski Erazm
Otowski Stefan
Osostowicz Józef
Dr. Papara Kazimierz
Dr. Paprocki Władysław
Pawłowski Stanisław
Dr. Piasecki Stanisław
Piątkiewicz Stanisław
Pilc Adam
Pieniążek Karol
Platner Fryderyk ch.
Pogorski Jan (w. ros.)
Pogonowski Kazimierz
Potocki hr. Alexander
Dr. Potrzobowski Karol
Pożakowski Wiesław o.
Reklewski Stanisław
Reklewski Władysław
Ricci Adam
Richtman Roman
Riedl Adam
Rohm Stanisław r. n.
Romański Kazimierz
Rudnicki Jan
Rudnicki Mieczysław r.
Dr. Ruebenbauer Władysław
Rydel Stefan o.

Rylski Eustachy
Rylski Maryan
Rylski Władysław
Rylski Wit. ch.
Rzewuski Bolesław
Dr. Rzuchowski Bronisław
Dr. Sabatowski Antoni ch o.
Schindler Franciszek
Schmerl Franciszek
Schneider Julian
Schultis Stanisław r. o. ch.
Dr. Schutt Edward
Sebera Henryk
Sękowski Stanisław
Sielecki Antoni
Skowroński Alfred
Skowroński Edward o.
Skrowaczewski Jan
Dr. Skrowaczewski Paweł n
Skrzyński Andrzej
Sobol Antoni
Sołtan hr. Stanisław (w. ros.)
Sroczyński Maryan
Stadnicki hr. Adam
Starowieyski Stanisław
Stoklasa Tadeusz
Strenk Antoni
Strowski Jerzy
Strutyński Alfred
Strutyński Tadeusz
Strzelecki Adam
Strzelecki Józef
Styfi Juliusz ch.
Szostakowski Wacław
Inż. Szayer Edward
Inż. Śniadowski Wład. r. o.
Świdrigiełło Władysław n.
Świeykowski Stefan
Turowicz Władysław
Wallisch Józef
Walner Jan
Wczelik Klemens
Więckowski Paschalis (w. ros.)
Wicherek Roman
Włodzimirski Janusz
Winiarz Henryk †
Witkiewicz Franciszek
Wolski Ludomir
Wolski Mieczysław
Wolski Tadeusz
Wojciechowski Józef
Wojciechowski Feliks
Wojnarski Witold
Wopaterny Oskar
Dr. Włyński Tadeusz
Vitek Maryan
Zabłocki Karol
Inż. Zaleski Stanisław
Dr. Zaremba Gustaw
Zerygiewicz Grzegorz
Zieleniewski Wiktor
Zieleniewski Edmund
Zieliński Stefan ch.
Żelazowski Teofil
Żarnowski Jerzy (w. ros.)
Żuk-Skarszewski Alexander

Służyli lub służą w Legionach:

Adamski Tadeusz †
Armółowicz Józef ch.
Bandrowski Tadeusz ch.
Bielawski Kazimierz
Biliński Tadeusz ch.
Bochenek Władysław r.
Chmielowski Teodor o.
Chwalibóg Jan o,
Chwalibóg Mieczysław r. n.
Chwalibóg Stanisław ch.
Ciastoń Jan
Drużbacki Mikołaj
Dunikowski Bolesław
Dunikowski Stanisław
Głuchowski Kazimierz
Górkiewicz Henryk ch.
Górkiewicz Stanisław
Graff Tadeusz r.
Heyda Kazimierz †
Jurasz Jan
Kisielnicki Jerzy †
Kobak Alfred †
X. Konopka Kazimierz T. J.
Kuhn Jan ch.
Kurowski Tadeusz
Linderski Maryan
Łubkowski Zygmunt ch.
Łukaniewicz Felix ch.
Markiewicz Felix ch.
Mencel Paweł
Myszkowski Jerzy
Myszkowski Ludwik

Myszkowski Stanisław	Siemaszko Józef
Niemczyński Roman	Siemaszko Wojciech
Schnür-Pepłowski Leon ch.	Sokołowski Witold
Perekładowski Stanisław	Sroczyński Maryan
Peterseim Roman	Strowski Tadeusz
Pieniążek Jacek ch.	Szankowski Ludwik
Przeździecki Alojzy	Szayer Tadeusz
Rodakowski Leon r.	Świeykowski Alexander
Robel Wiktor	Wallner Alfred
Romer Alexander	Wędrychowski Leonard
Rudnicki Adolf	Dr. Zaremba Gustaw
Sichrawa Mieczysław	Zawiliński Mieczysław.

Dr. Gustaw Zaremba, dawny prefekt Chyrowskiej Sodalicyi, dyrektor szpitala w Wadowicach, pierwszy rok wojny służył w szpitalu fortecznym w Krakowie i otrzymał kilka odznaczeń. Wskutek jednak wielkiego przemęczenia sam się rozchorował i musiał na pewien czas przerwać służbę i swoją specyalność — operacyę. Odzyskawszy zdrowie, ofiaruje swe zdolności Legionom i wyjeżdża do Kozienic pod Dęblin, o czem tak między innemi pisał: „Idea Legionów ciągnęła mię nieprzetartą mocą, a także i wspomnienia rodzinne, gdyż ojciec mój i dziad byli w powstaniu 63. i 31. r."

Nadporucznik Tadeusz hr. Łubieński służy od początku wojny; odznaczony, zjednał sobie wśród żołnierzy wielkie przywiązanie; w ostatnich czasach stał koło Tuchli.

Kol. Paweł Rohland pozostał w swoim majątku: Żabia wola pod Lublinem i gospodaruje dalej, jak również i Kol. Tadeusz Dąbrowski w Michałowicach pod Krakowem.

W Warszawie w głównej Radzie opiekuńczej w wydziale finansowym pracuje kol. Eustachy Korwin Szymanowski.

W ubiegłym roku jako kapelani w szpitalach krakowskich pracowali: X. Jarosław Rejowicz, X. Maryusz Skibniewski i X. Kazimierz Konopka, który w ostatnim czasie został mianowany kapelanem IV. pułku Legionów polskich. W szpitalu wojskowym w N. Sączu był kapelanem X. Jan Mayer.

X. Mieczysław Kuznowicz nadesłał nam swą broszurę p. t.: „W sprawie pracy w rozstrzygającym okresie".

X. Maksym Żurkiewicz, proboszcz w Monasterzu pod Przeworskiem, przebył szczęśliwie całą inwazyę na miejscu; za hojne wsparcie nadesłane na restauracyę Konwiktu i Związku Chyrowiaków na tem miejscu wyrażamy mu serdeczne podziękowanie.

Dr. Józef Gołba, porucznik rez. 35. p. p. dostał się z Przemyśla do niewoli i przebywa w Ufie. Dzięki uprzejmości żony Dr. G. otrzymaliśmy jego list z niewoli. „Z braku innego zajęcia rozpamiętywam teraz całe życie jak na rekolekcyach, a szczególnie miniony okres wojny w którym osobiście brałem udział. I tak 11/8. 1914 r. przeszedłem

chrzest ogniowy; deszcz kul sypał na mnie pod Założcami, granat uderzył w krowę uwiązaną w ogrodzie tuż koło mnie. Obryzgany krwią i mięsem krowy i zasypany ziemią upadłem, ludzie zameldowali komendantowi, żem zginął. Już nawet na moje miejsce zamianowano innego oficera komendantem mojej kompanii; na drugi dzień zjawiłem się jak duch wśród swoich. Dziwne to uczucie, znaleźć się tak pierwszy raz w życiu wśród gradu kul, z których każda śmierć niesie! Chwilowy niepokój, potem obojętność, D. 21. i 24. sierpnia 1914. r. potyczki pod Zborowem. Tego ostatniego dnia biłem się sam z moją kompanią z ogromną przewagą nieprzyjacielską, bo ze strażą przednią całej dywizyi wroga, rozporządzającego armatami, kawaleryą i karabinami maszynowymi. Kiedyś opowiem o tem więcej. W Przemyślu mieszkałem od początku do końca pod ziemią. To wpłynęło ujemnie na moje zdrowie. D. 8/12. 1914. uderza granat w miejsce, na którem przed chwilą stałem i tylko przypadkiem oddalenie się od przechodzącego kolegi uchroniło mnie od śmierci. Z odłamku tego granatu kazałem sobie zrobić pierścionek, który noszę na palcu. D. 18. grudnia zostałem ranny w czoło, tej chwili nie zapomnę nigdy. Odcięty przez nieprzyjaciela od mego oddziału skazany zostałem niejako na śmierć z towarzyszącymi mi trzema żołnierzami. Jeden z nich pada zaraz ugodzony kulą; wyrywam mu karabin i kładąc się na nasyp, bronię się. Pot zimny występuje na czoło, bo naboi zaczyna mi brakować, a nadto drugi żołnierz pada. Otoczony zostałem z trzech stron. Nieprzyjaciel atakując mnie z przodu, zbliżył się w wielkiej sile tak blizko do mnie, że usadowił się na drugiej stronie nasypu wskutek czego bagnety a czasem i lufy karabinów stykały się czasami. Poleciłem duszę Bogu; po wystrzelaniu ostatniego naboju wyobraźnia moja była tak dalece podrażniona, że zamiast żołnierzy nieprzyjacielskich, zobaczyłem nagle Ciebie z dziećmi. W tej chwili zrobiło mi się gorąco, ciepła krew zalała mi twarz i tracąc przytomność zsunąłem się z nasypu. Przychodząc znowu do przytomności, poczułem ból w nodze, to żołnierz nieprzyjacielski, sądząc żem zabity, stanął mi na nodze, przechodząc koło mnie. Gdy odszedł, doczołgołem się na czworakach do lekarza, który opatrzył mi ranę nad lewem okiem, nie wróżąc mi nic dobrego. Odwieziony do szpitala spędziłem w nim święta, Co to była za wilia! Gdy mię gorączka opuściła płakałem jak dziecko. Z końcem stycznia mianowany zostałem komendantem jednego z fortów w Żurawicy i na tem posterunku doczekałem się strasznej chwili: kapitulacyi twierdzy. Głód nas zwyciężył. Bohaterską naszą obronę pochwalił i uznał sam głównodowodzący armią nieprzyjacielską, pozwalając oficerom zatrzymać szablę. Ostatnie trzy dni przed kapitulacyą, t. j. przed d. 22. marca 1915 nazwać można piekłem na ziemi. Nieustający i straszny huk armat, ogólne osłabienie i wycieńczenie żołnierzy, którzy z tego powodu padali jak muchy i inne czynniki napięły tak moje nerwy, że płakałem jak dziecko bez powodu. — W dzień kapitulacyi

płakali nawet starzy oficerowie. Mięsa końskiego było jeszcze dosyć, ale brakło chleba i ryżu. Za żadne skarby nie można było nic kupić".

Sędzia obwodowy w Olkuszu, Maryan Markiewicz pisal:

„Nie jestem w stanie Kochanemu Ojcu opisać radości, jaką mi sprawiło przysłanie naszej gazetki chyrowskiej; naczytać się jej nie mogę a im więcej do niej zaglądam, to mimo że dokładnie ją przeczytałem zawsze znachodzę coś nowego. Ta prześliczna kroniczka, opisująca wydarzenia z czasów zaboru, choć krótka co do słów, a jednak tak obfita w treść, że bardzo wiele niedopisanych rzeczy, przejść i zmartwień domyślać się każe. Również wiadomości przez Stacha Jakubowskiego zebrane i kochanemu Ojcu zakomunikowane są nadzwyczaj interesujące.

Co znaczy wytrwałość, ufność w Bogu i niezwątpienie, toście Wy, kochani ojcowie obecnie przez otwarcie Konwiktu pokazali; z Was też każdy przykład sobie brać powinien, jak się należy zachować po tak strasznych przejściach wojennych, które każdego z pojedyńcza dotknęły — każdy więc nie powinien opuszczać rąk i nie tracić nadziei, ale imać się pracy co prędzej, by choć w części, nie dać się nieszczęściu rozpanoszać, a wtedy przy pomocy Bożej skutki tej pracy nie długo na się czekać każą.

Dziękuję też za przysłany mi opłatek, a zarazem zasyłam wszystkim drogim Ojcom serdeczne życzenia wesołych świąt i przy zmianie roku życzenia wszystkiego najlepszego, by Wam Bóg pozwolił prowadzić Wasze zbożne dzieło nadal bez przeszkód ku dobru naszej Ojczyzny, której losy obecnie tak się bardzo ważą, byśmy wszyscy na przyszły nowy rok mogli sobie składać życzenia jako wolni wolnym.

Tu, jak to już mówiłem, jest mi dobrze, nie brak mi niczego, ale gdybym tylko mógł, tobym natychmiast do kraju wracał, gdyż nie mogę się tu zaaklimatyzować; ludzie tu inni i pojęcia inne, a w każdym razie uważają nas tu za intruzów, którzy Bóg wie po co tu przyszli, mimo najszczerszych z naszej strony chęci i pomimo nasze, w całem tego słowa znaczeniu, obywatelskie zachowywanie się wobec ludności, nie znachodzimy tu takiego zaufania, na jakie w rzeczywistości sobie zasługujemy. Oby jak najprędzej się ta straszna wojna skończyła i oby jak najprędzej można było wrócić do swego, choć strasznie zniszczonego i opustoszałego gniazda.

Pracy mam tu obecnie bardzo wiele, bo agendy sądu z powodu długiego zastoju ciągle się zwiększają. Sądzimy tu wedle ustaw rosyjskich, które już o tyle poznaliśmy, że już się sprzedać nie damy".

Dr. Władysław Januszkiewicz, lekarz pułkowy, został kilkakrotnie odznaczony. Również lekarz wojskowy Dr. Paweł Skrowaczewski został z Przemyśla wzięty do niewoli.

Kapitan Józef Łapka donosi: Po ogłoszeniu mobilizacyi wyruszyłem z kompanią do Oświęcima, gdzie miałem pilnować mostu na

Wiśle i całą okolicę oszańcować. Po 14 dniach wyruszyliśmy przez granicę pod Kraśnik i Kłodnicę. D. 27. sierpnia raniony ciężko rosyjskim szrapnelem, dostałem się po czterodniowej jeździe do Rozwadowa, a później do Ostrawy, gdzie moja żona wraz z synem u swych rodziców przebywa. Nie należało mi się dużo, a byłby koniec. Operowano mię dwa razy, później byłem w Wiedniu na klinice, ale kuli nie wyciągnięto. Rana się zagoiła, boleści ustały, kula jak się ulokowała tak do dziś siedzi. W grudniu wróciłem do kadry, ćwiczyłem rekrutów, a w marcu wyruszyłem drugi raz w pole i siedzę do dziś. Przeszedłem dalsze potyczki i bitwy pod Stanisławowem, Haliczem, byliśmy później na Bukowinie, w maju w Karpatach, później znowu na Bukowinie, w Galicyi przy przełamaniu na złotej Lipie, pod Buczaczem, Czortkowem, Zaleszczykami, a teraz jestem od trzech miesięcy w pozycyi na pierwszej linii. Moskale nie naprzykrzają się nam bardzo, tylko artylerya posyła nam codziennie pozdrowienia, a w nocy starają się mniejsze oddziały nam przeszkadzać w robotach lub ostrzeliwują nasze pozycye na ślepo. Wybudowałem sobie podziemną willę i przepędzamy czas jak się da. We dnie po większej części śpimy, a za to w nocy trzeba pilnować ludzi i obchodzić straże, bo nie wiemy, co nasi nieprzyjaciele mają za plany i kiedy zaczną znowu na nowo. X. Rudnickiego odwiedzam często, we wsi gdzie zakwaterował, ale i koło niego padają pociski artyleryi rosyjskiej, przed paru dniami upadł granat tuż koło jego chałupy ale na szczęście nic się nie stało".

Dr. Antoni Sabatowski pisze z pola: „Serdecznie dziękuję za pamięć o mnie i Kwartalnik. Już dawno nie miałem tak dobrego dnia jak dzisiejszy, zwłaszcza, że nadchodzące znów święta w polu nie nastrajają wesoło. Jestem za frontem besarabskim na jakie 10 klm. od linii bojowej i prowadzę oddział chorób wewnętrznych w szpitaliku polnym. Mam to zajęcie od jesieni. Przedtem pracowałem na tak zw. „Verbandplacu" to jest tuż za linią bojową, a nieraz jeszcze w obrębie linii artyleryi. Kilkakrotnie byłem też z tego powodu w niebezpieczeństwie życia, raz nie wiele brakowało żebym się dostał do niewoli. Pod Przemyślem w październiku w 1914 walczyłem z cholerą (Cyków) naturalnie bez wielkiego skutku. Wszędzie za łaską Boga wyszedłem cało, a w końcu w lecie tego roku zapadłem na tyfus brzuszny, który również szczęśliwie i prędko przebyłem. Ryngraf sodalicyjny mam wszyty w mundur na sercu. Stosunki służbowe mam bardzo dobre, bo cała hierarchia jest lekarska. Zostałem dwukrotnie odznaczony (signum laudis i krzyż Czerw. Krzyża). Pracuję przeważnie wśród wojska, złożonego z Tyrolczyków, Kroatów i Węgrów. Z Chyrowiaków prócz St. Kotarskiego i Haszlakiewicza nikogo nie spotykałem. Dopiero z Kwartalnika dowiedziałem się o śmierci ś. p. W. Balickiego, a wiadomość ta jest dla mnie bardzo bolesna. Myśl wydania jego żywota jest bardzo dobra, ale nie spieszcie się z tem. Po wojnie zabierzemy się do tego dzieła

wspólnymi siłami: X. Wicerektor Sawicki i my wszyscy jego koledzy musimy razem z jego profesorami i rodziną zebrać szczegóły jego żywota i odbudować cały proces rozwoju tego świątobliwego męża, żywot ten powinien mu być pomnikiem, a dla naszej młodzieży księgą naukową. Dalsi koledzy (młodsi i starsi) mało go znali bo był dosyć zamknięty w sobie i na pozór twardy. Także jako prefekt Sodalicyi mało się dawał poznać dalszym. Piękny przykład koleżeństwa daje obecnie kol. Dr. Z. Glixelli, który podjął się administracyi mojego majątku we Lwowie, który teraz żadnego dochodu, a tylko dużo trosk przynosi.

Doszła nas wiadomość, że Hr. Józef Stadnicki z Radawca w Lubelskiem wiele wycierpiał przy odwrocie Rosyan, ale pozostał i gospodaruje dalej.

Dr. Erwin Szeib pisał z Wiednia: „Cieszymy się wszyscy ogromnie, że mimo tylu przykrości i ciężkich chwil nasz Konwikt przetrwał wszystko i jest znowu twierdzą polskości na naszej ziemi i źródłem nowych sił dla Ojczyzny i naszego Związku. Niech Bóg błogosławi W. Ojcom w pracy z Nowym Rokiem i niech powróci nam W. O. Rostworowskiego z wygnania w zdrowiu i jak najprędzej. Miło nam, że na czele Konwiktu stoi dzisiaj członek naszego Związku, nasz dawny Kolega, zasyłamy mu więc najszczersze życzenia dalszych jak najwydatniejszych rezultatów w Jego pracy. D. 4. stycznia wieczorem opuszczam Wiedeń i jadę z Dr. Tadeuszem Bosakowskim tam gdzie miałem jechać przed wojną do Horodenki, gdzie mię czeka straszna praca w gminie i w powiatowej kasie.“

Kol. Stefan Dunikowski pisze: „Na miesiąc przed wybuchem wojny nabyłem i objąłem majątek Stróże koło Zakliczyna. Znoszę nie najgorzej trudy przeszlo 16-miesięcznej służby na froncie. Przeszedłem już wzdłuż i wszerz Bukowinę, Galicyę, półn. Węgry, Król. P. po Łódź Warszawę i Dęblin i jak dotąd wychodziłem, zawsze cało z wszelkich opresyi. Ufam, że i nadal opieka N. Maryi P. uchroni mię i powróci cało do domu, żony i dwu córeczek, które wciąż się modlą za tatusiem swoim. Stosownie do wezwania listu Waszego dodaję, że odznaczony zostałem w lipcu Krzyżem honorowym 2 kl. „Patriae ac humanitati“ Cz. Krzyża z dekoracyą wojenną, a we wrześniu najwyższem pochwalnem uznaniem i wojskowym medalem zasługi „signum laudis“ z koroną na wstędze wojsk krzyża za waleczność. Jako porucznik byłem oficerem ordynasowym. Nadporucznikiem mianowany zostałem 1/XI. i pozostaje komendantem 2 plutonu, 6 szwadr. 1. p. ułanów.

Hr. Adam Stadnicki z Nawojowej, służąc przy pociągach Maltańskich, które odwożą rannych z pola bitwy, kilka razy przejeżdżał z chorymi przez Chyrów; w Nawojowej utrzymuje 10 chorych legionistów.

Por. Antoni Bardecki służył na początku wojny w artyleryi fortecznej w Krakowie, a obecnie jest stacyonowany w Rzeszowie.

Kol. Rudolf Baranowski wrócił na swe stanowisko sędziego do Przemyśla, skąd donosi, że Dr. Stanisław Buzáth wyjechał daleko, bo jego adres: Feldpost 320. Türkeifeldhaubitzenregiment, Regiments-Stab.

Kol. Stanisław Burzyński w Uhrynowie, jak również jego sąsiad kol. Józef Mencel w Pawełczu gospodarują dalej, nie opuszczawszy swoich majątków. Kol. Paweł Mencel służy przy ułanach w Legionach.

Inż. Juliusz Liwicki donosi, że jest zajęty przy budowie mostu w Iskrzyni koło Targowisk, brat zaś jego młodszy Ryszard spodziewa się, że wkrótce wyruszy z kadry na pole walki.

Profesor Michał Małuja wrócił na dawne swe miejsce do gimnazyum w Stryju.



PRZYPIĘCIE DEKORACYI CHYR. RYDLOWI.

Inż. Stanisław Matkowski ze sławnego Mołotkowa, obecnie porucznik przy Saperach, pisząc z Polesia pozdrawia dawnych i obecnych Chyrowiaków i donosi, że całą wojnę szczęśliwie przebył.

Por. Adam Epler we wrześniowych numerach „Kuryera Lwowskiego“ umieszczał szereg artykułów p. t.: „Skauting i jego zadanie“ a odzyskawszy zdrowie, znów wyruszył na pole walki.

Dr. Jerzy Rosinkiewicz donosi, że urzęduje obecnie w Starostwie w Białej.

Por. Adam Ricci od początku wojny jest na froncie; w Karpatach i nad Izonco otrzymał odznaczenie.

Z kartek polowych kapelana X. Rudnickiego: U nas teraz dobre czasy: ani Moskale na nas, ani my na nich nie wyruszamy. Oni się okopali, a my stanowczo lepiej. Strzelanie jest i ranni i zabici, ale to

wszystko nic w porównaniu z tem, co się już przeżyło na innych frontach. Odwiedziłem kiedyś kapitana Lapkę w jego norze, ale to wcale uczciwe mieszkanie. Granat jeszcze przebiłby je, ale zresztą pokój wcale miły, obity deskami, widny bo i okno jest, zarekwirowane z jakiegoś „grandhotelu“ w Zaleszczykach, i łóżko z jakiegoś dworu, piec wystawiony, więc ciepło i swojsko. Ponieważ to pod ziemią, to mało się słyszy eksplozyę granatów, choć niedaleko padają. Kapitan Lapka lubi opowiadać różne kawałki i historye z konwiktowych czasów, o tabelkach X. Krysy, a również jak X. Krysa, chciał go koniecznie nawrócić, gdy raz był z żoną w Chyrowie, ale mu się kapitan nie dał. Wogóle jest on bardzo lubiany, bo każdego potrafi rozweselić.

Posyłam dziś kartkę z Chyrowiakiem Rydlem, który niedawno został odznaczony srebrnym medalem waleczności. Fotografia przedstawia właśnie uroczystość przypinania dekoracyi, której byłem świadkiem, Rydel w tej grupie najwyższy.

Porucznik Tadeusz Masłowski wyleczył się z rany, a 26. listopada, prowadząc swoją kompanię na plac boju, przejeżdzał przez Chyrów.

Dziękuję za kwartalnik... Przeczytałem go niemal jednym tchem. Może da Bóg, że słowa pieśni, które wycisnęły łzy z oczu Myszkowskiego, teraz okażą się fałszywemi i nie pójdą na marne trudy ofiarne. Oby Bóg dał! Chcąc pożyczyć swego egzemplarza kapitanowi Lapce wybrałem się do niego, ale on oświadczył, że już otrzymał i już go pożarł, a nawet kropnął encyklikę do swego kolegi X. Sawickiego. Podczas obiadu w menaży komendant zapytuje Rydla i Schantrocha, co tak chciwie czytają, a okazało się, że i oni gazetkę otrzymali.

Ten 13. krakowski pułk piechoty wciąż się Chyrowiakami napełnia, a pośrednikiem między nami został jego kapelan X. Rudnicki.

Kol. Stefan Rydel donosi: Z końcem lipca wyszedłem w pole, gdzie dzięki Bogu jako tako się trzymam, służąc przy 13. p. p. Rodzice domu w Królestwie nie opuszczali, szkody mamy znaczne, ale budynki gospodarskie Bogu dzięki całe. Z tej samej kompanii donosi o swojej żołnierce i kol. Tadeusz Schantroch, który swoje utwory poetyczne zamieszcza, w wychodzącym w Krakowie „Ilustrowanym Tygodniku Polskim“.

Oto pisany z pozycyi w grudniu wiersz do Legionów od żołnierzy Polaków:

Z patrolą do Was poszedł Bracia
żołnierzyk z naszych jeden, On,
w którym się tłum nasz upostacia:
On — serca głos i duszy ton.
W noc, w śnieg, w zadymkę wszedł grudniową,
by ku Wam poprzez pola iść...

ma Wam, oddawszy hasło — słowo,
opłatka biały wręczyć liść.
A gdy już między Wami stanie
i raport z swej patroli zda,
wiedzcie, że jedno miłowanie
jest w sercu naszym tam u dna.
I choć opłatek przełamany
nie miodem błyśnie, ale krwią...
niech zapomniane będą rany,
a Bóg powitan z dawną czcią.
A czas i przestrzeń zникną wszędy
i przez okopy wszerz i wzdłuż
wybuchnie nowej pieśń kolędy:
Polska wolna staje się już!

Kol. Jan Kuhn donosi z Krakowa: Stefek Zieliński przechodził ciężkie chwile w Alpach, rozchorował się i przypuszczano, że będzie tyfus, ale skończyło się tylko na silnej gorączce, w styczniu miał otrzymać urlop. Kol. Bielecki i Stanisław Kuhn są w Zakopanem.

Kol. Jarosław Pieniążek pisze: Opuściwszy Zakopane, przyjechałem do Rozdołu na posadę leśniczego. Był tu Adaś Pilc na urlopie z wojska. Inwazyę tu przebył, a po odbiciu służy w kadrze w Żurawicy.

Z kartek i listów podchorążego leg. Zygmunta Łubkowskiego: Jestem chwilowo parę kilometrów poza frontem w małej polskiej osadzie K., gdzie mam pod swoją komendą oddział chorych koni naszego szwadronu, przynajmniej przez ten czas wyspię się i zjem spokojnie. Był tu wczoraj Staszek Myszkowski, któremu się buty podarły i dał je sobie u szewca naprawić. W ostatnich dniach ciężko nam było, bo pozostawiwszy konie szliśmy do okopów. Romek już w szpitalu. Straszne tu zażarte walki. Wczoraj pochowaliśmy 5 oficerów z 2. Brygady od piechoty. Moskale znów, jak mówią, wieszają legionistów. Nasi przysięgają, że to samo z nimi robić będą. Kiedyś zdawało się, że sądny dzień nastanie dla Moskali. Przez kilka godzin przeszło 60 armat biło do nich na przestrzeni 1 kilom., mimo to mało co się cofnęli. Spotkaliśmy się kiedyś z por. Henrykiem Jakubowskim i Tośkiem Sieleckim, szli na piechotę z 4 szwadronami na pozycyę.

Dziękując zaś za Kwartalnik, przysyła kol. Z. Ł. następujące streszczenie całej swej służby w Legionach:

„Mobilizacya zastała mnie na kuracyi w Rymanowie. Musiałem ją przerwać i jechać do domu pomódz Ojcu w gospodarstwie, gdyż rządcę i ekonomów zabrali do wojska. Gdy już najpilniejsze roboty letnie się kończyły, postanowiłem zapisać się do legionów. Już przedtem ćwiczyłem nieco w pieszej drużynie strzeleckiej w Podhajcach, ale jako wieśniaka, pociągnęła mnie naturalnie konnica. Wyjechałem z domu, by

poćwiczyć we Lwowie ze 2—3 tygodni, następnie wrócić po konie i zabrawszy więcej rzeczy wyruszyć w pole. Niestety stało się inaczej. Nazajutrz po moim wyjeździe (21 sierpnia) musiał mój ojciec z braćmi uchodzić z domu (matka i siostra były już przedtem we Lwowie), a następnego dnia zajęli Nowosiółkę Moskale. Ja zapisawszy się do kawaleryi legionu wschodniego, musiałem wraz z nią uchodzić 1. IX. do Sanoka. Tu dość wcześnie na szczęście spostrzegłem, na co się zanosi i już 5. września postarałem się o urlop — następnego dnia wyjechałem do Krakowa i zapisałem się do legionu zachodniego, do 3. szwadronu kawaleryi, gdzie z kolegów moich już byli: Jaś Kuhn, Ludek i Jurek Myszkowscy i Leś Romer. Był to jeden z najtrafniejszych moich kroków z całej wojny, uchronił mnie od patrzenia na taką hańbę, takie nieszczęście dla Polski, jaką było rozwiązanie tego wschodniego legionu. Ale nie miejsce pisać teraz o tem. Z Krakowa wyruszyłem 30. września wraz z II. brygadą na Węgry. Kawalerya została rozkwaterowana początkowo w miasteczku Nagy—Szöllös, gdzie używaliśmy na winie węgierskiem i wspaniałych winogronach. — Po 10 dniach wyruszyliśmy początkowo o 75 koniach pod komendą poruczn. Klusterskiego na front. Jechaliśmy koleją do Taraczköz, stąd wspaniałą doliną rzeki Turocz przez Dombo, Krasznisora, Königsfeld, Brusztura, Holzschaghaus i wreszcie sławną „Drogą Legionów", nie wykończoną jeszcze wówczas, do Galicyi. Z granicznej miejscowości Rafajłowej wysłaliśmy 3 patrole, za niemi wyruszyły całe Legiony na Nadwórnę. Po pamiętnej bitwie pod Pasieczną 24. paźdz. wyjechaliśmy z tryumfem do miasta, przyjmowani owacyjnie przez ludność. Jeszcze tego samego dnia wysłany zostałem na patrol pod komendą por. Schwarza i żand. polowej, w celu nawiązania łączności z dywizyą generała Atemsa, która szła na Nadwórnę od strony Körözmözö. Natknęliśmy się zaraz na większy oddział kozaków, musieliśmy wrócić do Nadwórnej.

26. września zostałem przydzielony na tłumacza do szwadronu huzarów dywizyi Atemsa. Dostałem zaraz rozkaz poprowadzenia patroli do Kołomyi i okolicy, którą według niesprawdzonych wiadomości Moskale mieli opuścić — niestety tam nie dojechałem, gdyż Moskale już byli z powrotem, spatrolowałem tylko dokładnie całą okolicę aż do Peczeniżyna włącznie, nocując po leśniczówkach, witany wszędzie ogromnie owacyjnie przez ludność, gdyż byliśmy (wraz z 9 huzarami) pierwszymi żołnierzami, którzy tam przyszli po cofnięciu się Moskali. Wróciłem w sam dzień bitwy Mołotkowskiej — cofnęliśmy się wraz z dywizyą Atemsa do Delatyna, stąd do Dory. W dzień W. W. Świętych zaatakowali nas tam Moskale — pojechaliśmy na patrol na prawe skrzydło, ale przyjęci silnym ogniem musieliśmy się cofnąć. Po południu zostałem wysłany z ważnym meldunkiem do podpułk. Hallera do Rafajłowej; ponieważ Zielona, leżąca na mojej drodze, była już zajęta

przez Moskali, musiałem wyszukiwać sobie drogę przez niedostępne lasy i góry, w których nawet przewodnik zabłądził.

W Rafajłowej wróciłem do szwadronu i poszedłem wraz z nim 8. XI. na 10-dniowy odpoczynek do Brusztury na Węgry. Potem wezwano nas na nowy front: cudowną drogą przez Körözmözö, Jabłonicę, Tatarów, Worochtę, Żabie, ruszyliśmy pod Kossów, gdzie odparliśmy nacierających na słabą tamtejszą załogę Moskali. — Śliczna okolica Czeremoszu, bardzo tam przychylna ludność huculska uprzyjemniały tę dwutygodniową kampanię. W samo święto Matki Boskiej 8. grudnia wyruszyliśmy znów do Worochty, stąd koleją do Hust na Węgrzech: nieprzyjaciel napierał ogromną siłą na przełęcz Wyszkowską; rozpoczęła się okropna dla ułana nudna defenzywa pod Ökermezö, trwające do połowy stycznia. Tam, w brudnych chatach górali rusko-węgierskich urządziliśmy sobie wilię, podczas której jedynem naszem wzajemnem życzeniem było, by następną wilię spędzać na ziemiach polskich, uwolnionych od wroga. Bóg dał, że się to życzenie spełniło. W połowie stycznia przerzucono nas na granicę Bukowiny, skąd mieliśmy wziąć udział w ofenzywie armii Pflanzera. Kilka nocy, spędzonych „sub Jove" lub w barakach zmusiło mnie do położenia się do łóżka; po dwutygodniowem tułaniu się po różnych szpitalach węgierskich dojechałem w początkach lutego do Wiednia, gdzie była wówczas moja rodzina; miesiąc przeleżałem tam w szpitalu w Stiftskaserne, następnie jako rekonwalescent wysłany zostałem do baronowej Perciry w Allensteigu, a następnie w kwietniu do klasztoru Franciszkanek w Eichgraben koło Wiednia. Obecność wielu moich znajomych — uchodźców, blizkość rodziny, troskliwość i uprzejmość, spotykana wszędzie, zwłaszcza w obu domach rekonwalescentów, wreszcie śliczna okolica podwiedeńska sprawiły, że te trzy miesiące mojej, niezbyt zresztą ciężkiej choroby były dla mnie miłym bardzo odpoczynkiem po trudach wojennych. D. 1. maja wróciłem do kadry i zostałem przydzielony do szkoły podchorążych — egzamin złożyłem (żeby nie przynieść wstydu konwiktowi) z postępem „bardzo dobrym" i zostałem jako „aspirant oficerski" przydzielony do formującego się świeżo szwadronu szóstego, gdzie objąłem komendę 3. plutonu. Z tym szwadronem wyruszyłem w połowie września na Wołyń, gdzie brałem udział we wszystkich działaniach wojennych III-ciej Brygady Legionów. Doszliśmy z ofenzywą z Kowla wzdłuż linii kolejowej do Styru, gdzie, przydzielony chwilowo z plutonem do komendy Brygady, brałem udział w większej bitwie pod Kostiuchnówką, w której odparliśmy kilka ataków, trzykroć przeważających sił rosyjskich, aż wreszcie na podstawie rozkazu rozpoczęliśmy odwrót. Zmęczeni forsowną ofenzywą przeszliśmy do rezerwy — z tego chwilowego odpoczynku pisałem kilka kartek. Gwałtowny atak rosyjski na miasteczko Czartorysk zmusił komendę do powołania nas znowu na front. Jak wiecie pewno z gazet, miesięczne walki skończyły się zupełnem naszem zwycięstwem

w drugiej połowie listopada. Od tego czasu panuje zupełny spokój. Byłem czas jakiś kilka kilometrów za frontem, gdzie miałem luźne konie naszego szwadronu, obecnie jestem znów na froncie, lecz roboty tu niema prawie żadnej: jakieś warty, placówki, czasem maleńka patrol, naturalnie pieszo, gdyż lasy i bagna nie pozwalają na patrole konne — zresztą dzień cały schodzi na urządzeniu sobie coraz ładniej ziemianek (całkiem nowy sposób budowania kamienic), koło których sadzimy sobie świerki, robimy klomby, ścieżki, aleje, płotki i t. p.

Mam zamiar zacząć tu fotografować; jeśli zrobię jaką ładną fotografię, to ją W. Ojcu poślę, gdyż ten, kto nie był na froncie, nie ma zupełnie pojęcia, jak to tu wygląda. My uczymy się tego głównie od Prusaków, którzy są tu z nami razem — są oni rzeczywiście mistrzami pod tym względem, a ponieważ stosunki między nami są nadzwyczajne, więc sobie nawzajem pomagamy".

Ułan leg. St. Myszkowski, towarzysz Z. Łubkowskiego pisał: Cieszę się bardzo na gazetkę, która zapewne na święta zawita do mojej podziemnej willi „Kasyno". W braku zabudowań pobudowaliśmy sobie lepianki, w których po kilku a nawet po kilkunastu mieszkamy. Sam Exc. Durski i sztab mieszkają w takich podziemiach. Ja przy pomocy mochów wybudowałem lepiankę na ośmiu, okazała się bardzo wygodną i obszerną, może pomieścić i 30 ludzi. Toteż codzień u mnie pełno gości: schodzą się nasi oficerowie, aby posłuchać chóru i dowcipnych kupletów, jakich na każde zawołanie mamy spory zapas. Niejednemu też dostanie się jakiś przycinek. Konnica zamieniła się teraz na piechotę. Takie poniżenie musiało i w pieśni znaleźć swoje miejsce. Spiewamy też często:

Przybyli ułani na wojenkę,
W okopach splamiono im sukienkę,
A potem kazano na przyczynek
Okopów bronić im odcinek.
Zamiast szabelki do obrony
Oddano im drutu trzy rulony.
Komendzie więc drutu wsadź za karę
Z kolcami odcinek w jaką szparę.

Nie wiem, czy kiedy powstało tyle pieśni, co w czasie wojny. Codzień powstają nowe zwrotki, tylko to bieda, że większa z nich część zbyt rubaszna, nie nadająca się do publikowania, chociaż nieraz świetnie charakteryzuje ludzi, zwłaszcza oficerów. Obecnie do okopów już nie chodzimy, ale miewamy ciężką służbę garnizonową i patrole. Bardzo często, zwykle w nocy, gdy coś na froncie kiepsko, miewamy alarm. Trzeba w 20 minutach być ubranym i z osiodłanym koniem czekać. Często jednak kończy się to na niczem i rozsiodławszy konie idziemy spać; czasem jednak trzeba jechać naprzód na patrol i zbadać,

co się tam dzieje. Teraz tak wesoło i zdrowo kaszlę, że aż piasek leci z lepianki, ale to jeszcze nie choroba i do infirmeryi do Br. Buzalskiego nie pójdę, bo zresztą wiem, że z matematyki pytany nie będę. Najwyżej zapytają mnie, ilu ludzi i koni mam w plutonie, lub czy wszyscy mają po 120 patronów. To cała matematyka.

Jestem w Czersku, 40 klm. za linią. Tu założyliśmy stacyę naszych knio szwadronowych. Mamy tu ładną kapliczkę z fisharmonią którą naprawiam po Madiarach i grywam na niej. Ludność w naszej wsi przeważnie katolicka i to nawet polska, ale taka, że nikt słowa po polsku nie umie. Musiał mieć ten ksiądz kolosalną pracę nim ich nauczył pacierza po polsku. Śpiewają też polskie pieśni kościelne, ale tak po lwowsku i to przesadnie, że uśmiać się można. Ksiądz przyjeżdża tu z Gołub raz na miesiąc, ale może uda się nam sprowadzić go na święta.

Od kilku dni leżę na influencyę, teraz dopiero w ciepłej chacie po mleku, jakiego tak dawno się nie widziało, zaczynają wyłazić z człowieka choroby, jakich nie było w okopach i rozmaitych tarapatach".

Kol. Władysław Piotrowski, alumn seminaryum duchown. w Przemyślu pisze: Przetrwałem wszystkie trzy oblężenia w twierdzy, pielęgnując chorych w spitalach. Bywało czasem bardzo ciężko zwłaszcza w czasie inwazyi moskiewskiej. Obecnie mamy już normalne studya teologiczne.

Kol. Witold Choynowski, listem okrężnym z d. 1. grudnia donosi: Obaj z Zygmuntem Domańskim jesteśmy w Orle i pracujemy w fabryce Regulskiego. Dziś wyczytaliśmy, że w Chyrowie Konwikt otwarty: rzeczywiście nadzwyczajna energia Ojców, wszak przed pół rokiem jeszcze nic tam nie było. Bronek pozostał w Kijowie.

Z Bystrowan pisze kol. Jan Lubaczewski: Gazetka sprawiła mi większą radość niż wiadomość, że zostaję zugsführerem, a choć byłem bardzo zajęty ekspedycyą jednego wielkiego transportu, odłożyłem całą robotę i zacząłem czytać, ale nie wiedziałem od czego zacząć, chcąc odrazu wszystko wiedzieć. Gdy znalazłem wiadomość o sobie i Tadziu musiałem zaraz przetłómaczyć porucznikowi Węgrowi. Niezmiernie mię też ucieszył opłatek, bo my obecnie żyjemy nerwami, więc każda kropla pociechy i otuchy nam przysłana ma wielką zasługę wobec Boga i ludzi.

X. Tadeusz Doliński, Redemptorysta z Tuchowa między innemi pisze: „Boleśnie dotknęła mię wiadomość o śmierci ś. p. Dra inż. Wacława Balickiego i ś. p. inż. Jerzego Kisielnickiego, którzy w Konwikcie byli w tym samym czasie, co i ja, pierwszy wyżej trochę, drugi zdaje mi się o rok niżej, choć nie wiem na pewno, gdyż było ich dwóch braci, a nie mogę przypomnieć sobie, któremu z nich na imię było Jerzy. Najwięcej jednak zabolała mnie strata mego kolegi z ławy szkolnej, ś. p. Dra Augusta Chorośnickiego, odznaczającego się wybitnemi zdolnościami,

któregośmy też tak kochali dla jego koleżeńskiej uczynności i humoru. Ja osobiście widziałem Moskali tylko jako jeńców wojennych w Tyrolu, dokąd zeszłego czyli właściwie 1914 r. 23. września wraz z drugim Ojcem zostałem wysłany, gdyż w tym czasie pułkownik ze swym sztabem z armii cofającej się z pod Lublina byli u nas kwaterą, a widząc położenie naszego klasztoru, radzili nam, byśmy się gdzieindziej schronili, gdyż jeżeli w tych stronach przyjdzie do bitwy, co jest bardzo prawdopodobnem, jak mówił, klasztor, jako leżący na wzgórzu, wystawionym będzie na wielkie niebezpieczeństwo. Nasz O. Rektor na takie dictum, bojąc się wszystkich pozostawić, porozsyłał nas do różnych domów naszych prowincyi wiedeńskiej i pragskiej, do których przeznaczyli nas tamtejsi Prowincyałowie, przyjmujący nas na schronienie do swych prowincyi. Mnie przeznaczono do domu naszego w Insbruku, dokąd przybyłem 29. IX. 1914. i pozostałem do świąt Bożego Narodzenia, przeniesiony wtedy z Insbruka do Dornbirn we Vorarlbergu na żądanie Najprzew. Ks. Biskupa z Feldkirchu, gdyż potrzebnym tam był polski ksiądz do opieki i duszpasterstwa nad wychodźcami z Galicyi, znajdującymi się we Vorarlbergu po różnych miejscowościach w liczbie łącznie blizko dwutysięcznej i dla nich to przełożeni mnie przeznaczyli tamże. Byłem bardzo zadowolony z tego, gdyż miałem prace i byłem więcej wśród swoich. Były to przeważnie rodziny kolejowych urzędników i podurzędników, ewakuowane z różnych miast wschodniej Galicyi, najwięcej ze Sambora, Kołomyji, Lwowa, Tarnopola, itd. Ten pociąg ewakuacyjny stacyi Sambora, który szedł na Sianki i którym Przew. O. Wicerektor Sawicki dojechał do Starej Soli, skąd szedł pieszo, jak czytałem w Kwartalniku, po dwutygodniowej podróży z różnemi przygodami, jak mi opowiadano, przez Węgry zajechał aż na Vorarlberg i wypróżniony został częścią we Feldkirchu, a częścią w Bregencyi nad jeziorem Bodeńskiem, gdzie stacya samborska znalazła schronienie. Dyrekcya insbrucka dała mi kartę wolnej jazdy na cały swój okręg, bym mógł pracować dla Polaków, objeżdżając różne miejscowości, po których byli rozmieszczeni. Wogóle przyznać trzeba, że Dyrekcya kolejowa w Insbruku gościnnie przyjęła i opiekowała się jak mogła troskliwie ewakuowanymi z Galicyi, tak tymi, którzy koło Insbruka pozostawali w Hall i Kematen w liczbie około 500, przeważnie ze Zagórza, jak i znajdującymi się we Vorarlbergu. Na czele bowiem tej Dyrekcyi jest Polak Jęczmieniowski, stąd większa życzliwość jej dla Polaków. Ja miałem pociechę w mej pracy, gdyż garnęli się prawie wszyscy chętnie do kościoła i do spowiedzi, tak w czasie rekolekcyi, które urządzałem dla nich tak w adwencie, jak i we wielkim poście po różnych miejscach, gdzie znajdowali się w znaczniejszej liczbie, jak i przez cały czas kilkumiesięcznego mego wśród nich pobytu, gdy po kolei objeżdżałem ich kolonie, urządzając nabożeństwa, miewając kazania w niedziele i święta, prawie zawsze miałem pewną ilość do spowiedzi; najwięcej zaś pociechę mi sprawiali w maju i w czer-

wcu, garnąc się licznie na majowe nabożeństwa, które w Bregencyi codziennie wieczór dla nich miałem i przez czerwiec rano do Najsł. Serca P. J. We Feldkirch zaś, gdzie byli sami tylko ze Sambora, a dokąd kilka razy tylko na te nabożeństwa dojechać mogłem, sami zbierali się na nie i odprawiali je w kościółku co wieczora przez cały maj i czerwiec. Nie brakło strapionych wśród tych biedaków, z których wielu część rodziny pozostawiło w Galicyi i przez długi czas nieraz, w czasie inwazyi rosyjskiej żadnej o nich nie mieli wiadomości, lecz pociechy po większej części szukali w religii, u Boga; wyjątki trafiały się, lecz na ogół powiedzieć można nieliczne. W czasie tego dziesięciomiesięcznego mojego wygnania z kraju, poznałem piękne alpejskie strony z uroczemi widokami, wspaniałe miasto Insbruk, a w niem piękny gmach: Canisianum, gdzie księża doktoryzanci z całego świata mieszkają; poznałem jednego z nich z tarnowskiej dyecezyi tam będącego, którego kilkakrotnie odwiedzałem i przy tej sposobności zwiedziłem tę wspaniałą budowlę, byłem też i w Collegium tamecznych WW. OO. Jezuitów kilka razy, a tak samo we Feldkirchu — tak w Konwikcie niemieckiej prowincyi WW. OO. Jezuitów dosyć wielkim, pod wezwaniem „Stella matutina", lecz mojem zdaniem nie dorównywującym naszemu chyrowskiemu ani rozmiarami, ani wspanniałością urządzenia; — jak i w domu rekolekcyjnym, w którego połowie obecnie jest szpital i gdzie spowiadałem przeszło 20 rannych polskich żołnierzy i przy tej okazyi poznałem ten gmach wspaniały, lecz ze lwowskim nie umiem go porównać, gdyż lwowskiego domu rekolekcyjnego wcale nie znam. W „Stella matutina" wśród kilkuset niemieckich konwiktorów, którzy tam mundurków nie noszą, lecz ubrania rozmaite, przedstawiono mi jednego Polaka z Królestwa, niejakiego Dembińskiego, który nie wiem skąd aż tam się zabłąkał, lecz nie śmiałem dopytywać się o to. Najprzew. Ks. Biskup Dr. Zygmunt Waitz, będący jako sufragan Ordynaryusza z Brixen, Generalnym Wikaryuszem dla Vorarlbergu, z siedzibą we Feldkirch, okazywał się tak dla mnie, jak i dla wychodźców galicyjskich bardzo życzliwym i uprzejmym, raz nawet odwiedził jedną z czterech szkół, urządzonych we Vorarlbergu dla polskich dzieci, a choć z dziećmi rozmowa po niemiecku nie szła, nauczycielstwa wypytywał o stosunki, a dzieciom rozdawał obrazki, słuchał ich śpiewu i deklamacyi, choć naturalnie nic nie rozumiał. Wśród tamecznego kleru różni byli, jedni więcej drudzy mniej nam życzliwi, lecz wprost nie robili trudności. W Bregencyi i we Feldkirch mieliśmy kościółki filialne sobie zupełnie oddane do użytku, gdzieindziej musieliśmy mieścić się w parafialnych kościołach, w godzinach wolnych od niemieckich nabożeństw. Mimo dosyć korzystnych tam dla mnie warunków, tęskniłem zawsze za krajem i swoim klasztorem, jak zresztą wszyscy prawie wychodźcy do stron swoich tęsknią, toteż skoro tylko się dało, t. j. skoro otrzymałem od ministerstwa spraw wewn. pozwolenie na powrót do kraju, zaraz wyjechałem, 27. lipca z. r. i wróciwszy do Tuchowa zastałem klasztor w dobrym

stanie, za co Bogu, Matce Najświętszej niech będą dzięki, bo prawie cudem ocalał pośród tylu kul i granatów, które wokoło padały, jak opowiadali trzej Ojcowie, którzy przez cały czas tu pozostali.



Mszę polową O. Rudnickiego przedstawiają te dwa zdjęcia. O podobnych zajęciach kapelana na wojnie pisał d. 29. grudnia X. Wolnik. Ja muszę jeździć wierzchem i wozem przez błota Prypeci, aby duchowo obsługiwać rozstawioną na tej przestrzeni dywizyę. Właśnie dwa dni temu wróciłem z czterodniowej wycieczki. Odbyłem 120 wiorst drogi, aby w sześciu miejscach odprawić Mszę św., wyspowiadać, pocieszyć i pokrzepić Ciałem Pańskiem, stojących na posterunkach żołnierzy. Niestety na dwu miejscach, najbliżej frontu położonych, nawet tej pociechy dać nie było można, gdyż ciężka praca przy okopach, oraz niebezpieczeństwo chwili na to nie pozwoliły. Wyjechałem z Lubieszowa przy dość silnym mrozie; we wigilię mocna zawierucha śnieżna, w pierwsze święto odwilż-śnieg z deszczem gonił mię naczczo do południa. Szczęśliwie jednak powróciłem, zanim drogi zupełnie rozmokły. Dzisiaj znowu chwyta mróz. Nie daj Boże, aby Moskale, przy zamarzniętych błotach nie sprawili nam takiej niespodzianki, jak miesiąc temu.



Kol. Jan Deskur pisze: „Po ośmiomiesięcznych walkach jesteśmy na odpoczynku w małej pogranicznej wiosce, ciesząc się, że będziemy święta spokojniej obchodzić. Niedawno zostałem chorążym, a z rąk naszego komendanta, majora Dzierżanowskiego otrzymałem srebrny medal waleczności 2 kl. Tadzio Strutyński zostanie chorążym prawdopodobnie w styczniu. Brat mój Jurek wyszedł w pole jako kadet przed trzema tygodniami, a jego 20. p. p. obrony krajowej stoi blizko nas, więc widujemy się częściej. Z Chyrowiaków jest w naszej bateryi Krimmer, a w 31. p. art. polnej widziałem się niedawno z Wolskim i Olszańskim, oraz służącym przy strzelcach Niewiadomskim. Szwagra mego wywieźli Moskale w głąb Rosyi, więc mój ojciec w jego majątku gospodaruje, ale jeszcze pod okupacyą."

Później pisał: Niezmierną radość sprawiły mi gazetka i opłatek, niestety w dniu wilii zrobiliśmy marsz 35-kilm. wśród śnieżycy i po zasypanych śniegiem drogach. Dopiero o 5. wieczór baterya nasza przybyła na miejsce; byliśmy bardzo zmęczeni, więc po spożyciu sardynek i chleba z serem poszliśmy spać. W dniach świątecznych przeszliśmy 150 km. Stoimy w rezerwie przy jednym z niemieckich pułków.

Por. Henryk Jakubowski donosił: „Jestem już 13 miesięcy w polu i dzięki Bogu, mimo, że brałem udział w ciężkich walkach, jestem zdrów i cały. Przez pół roku byłem od ułanów odkomenderowany do 50. p. p., a ten okres był dla mnie najnieprzyjemniejszy pod każdym względem. Cały czas byłem na terenie Królestwa, a teraz jestem na Wołyniu. W moim 3. p. ułanów służą: Antoni Sielecki, Roman Gołębski i Józef Miński." W ostatnim czasie kol. Jakubowski został odznaczony.

Kol. W. Berezowski pisze z pola: „W dzień mobilizacyi wstąpiłem do wojska, po pół roku zdałem egzamin oficerski w artyleryi i zgłosiłem się, aby jak najprędzej dostać się w pole. Przebyłem 7 miesięcy w pierwszej linii, aż wreszcie odwołano mnie z bateryi i oddano komendyrkę nad „Munitionskolonną". Bogu dziękuję za to przeniesienie, bo nerwy moje dużo ucierpiały, a teraz powoli przychodzę do siebie, choć pracy wiele, lecz w Bogu mam otuchę, że wszystko przetrwać się potrafi. Z kolegów w polu spotkałem raz Fr. Schmerla, jadącego w powozie jako „Tierarzt" przy jakimś końskim szpitalu. Alojzy Schuster przy naszej artyleryi w 2. bateryi porucznikiem, a Skowroński wysłany na teren włoski. — Za przysłane broszury dziękuję bardzo, podzielę się tym darem z moimi ludźmi.

Kol. Henryk Linderski służy przy 10. p. artyleryi polnej, a od maja do września był przydzielony do armii niemieckiej, z którą przeszedł całą Galicyę, potem puszczę Białowieską aż pod Grodno. Przez miesiąc był w Białymstoku, a w październiku wrócił do Sopronu. Młodszy Maryan służy w Legionach, w kompanii technicznej przy głównej komendzie, pluton V.

Kol. Tadeusz Maciejowski donosi z Radziechowa, gdzie przebył

całą inwazyę: „Nie wiem, jak mam opisać swą radość, po tylu miesiącach rozłąki, znów mogę choć na razie pisemnie tylko wzmocnić węzeł, łączący mnie z ukochanym Konwiktem i Sodalicyą. Przez cały czas inwazyi do naszego zakątka granicznego tak różne, a zarazem tak skąpe przychodziły wiadomości, że nie można było sobie zdać sprawy, jakie koleje Chyrów przechodził, co wycierpieli ci, którzy na posterunku wytrwali. A ta niepewność trwała długich szesnaście miesięcy, pełnych niespodziewanych wydarzeń. Dopiero teraz, po zaprowadzeniu komunikacyi pocztowej mogę tych kilka słów nakreślić, które niechaj będą dowodem, że o Konwikcie i o tych, którym tyle mam do zawdzięczenia nie zapomniałem nigdy, choć także zwłaszcza przy końcu inwazyi wiele do zniesienia miałem, przez aresztowanie mnie jako szpiega, lecz teraz roztkliwiać się nad sobą nie wolno, bo iluż jest takich, którzy stokroć więcej mieli do zniesienia niż ja, jestem przekonany i wierzę w to mocno, że tylko Opiece N. Patronki naszej Sodalicyi zawdzięczam to, że dotąd tę wojenną zawieruchę, gdzie na każdym kroku niebezpieczeństwo czyhało, szczęśliwie przebyłem.“

Kol. M. Starosolski pisze ze Lwowa: „Przez cztery miesiące byłem w wojsku razem z młodszym Lubaczewskim, nadwyrężywszy jednak zdrowie, zostałem uwolniony. Przez siedm miesięcy byłem w Wiedniu, gdzie korzystałem wiele z bibliotek. Z radością przed miesiącem wróciłem do Lwowa, a roboty mam bardzo dużo. Chodzę na ostatni rok praw i pracuję w seminaryach, ale prócz tego w Konferencyi św. Wincentego á Paulo, gdzie staramy się ulżyć tej nędzy, która panuje wskutek wojny i wzrosła wśród inteligencyi. W tych sferach są tacy, którzy nieraz swymi datkami zasilali kasę Towarzystwa, a dziś sami otrzymują wsparcie od niego... Przed tygodniem był tu na urlopie Stanisław Niewiadomski, jest kadetem, bardzo dobrze wygląda, dotychczas nie był rannym i nie chorował“.

Kol. Stanisław Świeżawski wrócił z Gracu do Krakowa uczęszcza dalej na uniwersytet, skąd donosi, że kol.: Pożakowski, Jan Rudnicki i Adam Łubkowski zostali „leutnantami“ i otrzymali srebrne medale. Młodszy kol. Tomasz mieszka w Przemyślu, gdyż dwór w Ostrowie zniszczony.

Kol. Stefan Łubkowski, jako medyk wyszedł już z oddziałem sanitarnym na front, zdaje się włoski. Również medyk Lech Gluziński wrócił do Lwowa, skąd donosi, ze pracuje w laboratoryum prof. Kuczery, bakteryologa.

Kol. Stanisław Chobrzyński służy przy 57. p. p. w Pawlowicach pod Przerowem.

Kol. Franciszek Schindler, służący przy 84. p. piechoty pisze:

„Po 9 miesiącach walki w polu byłem przez pewien czas w szpitalu w Przemyślu, a obecnie jadę do domu na święta. Wkrótce jednak znów zapewne pójdę na pole walki, proszę więc o mnie pamiętać w modlitwach.“

Kol. Konstanty Gołębski donosi ze Lwowa, gdzie chodzi na handlówkę i prawa: „U nas w Szumlańcach dzięki Bogu zniszczenia wielkiego niema, tylko zarekwirowano bydło i konie, jesienne roboty przy pomocy jeńców dokonane. Majątek zaś mego stryja Juliusza, ojca Marcelego, Sławentyn kompletnie zniszczony, budynki gospodarcze spalone do szczętu. W Krakowie widziałem się z Pileckim i Krzyżanowskim Wł., obaj chodzą na handlówkę. W Zakopanem widziałem się z Sobolami: Antoni został wzięty w październiku do wojska, znajduje się obecnie w Wiedniu. Wacław został uwolniony i zapisał się na prawa. Tu na uniwersytecie widziałem się z Sieleckim, którego brat Leon zginął jako porucznik przy ułanach. Brat mój Stefan służy przy 13. p. ułanów, obecnie w Holies na Węgrzech."

Kol. R. Maniewski służy przy 15. p. piechoty, a z Eperies donosi, że z końcem stycznia ma wyruszyć w pole, jak również Alfred Strutyński, służący przy artyleryi w Enying na Węgrzech.

Do szpitala w Pardubicach dostał się po długich trudach legionista Stanisław Chwalibóg, skąd prosił o broszury dla rannych towarzyszy. Przy końcu grudnia spodziewał się jednak powrotu na linię.

Kol. Stanisław Piątkiewicz służy przy 55. p. piechoty. Po ciężkiej chorobie powrócił do zdrowia i przydzielony został do lżejszej służby w Lublinie, skąd ostatni raz pisał.

Kol. Teodor Braunek służy od początku wojny w wojsku niemieckim w r. 1914. był ciężko ranny pod Łodzią, wyleczywszy się walczył na froncie francuskim, a potem znów był ranny na Litwie pod Olitą, ostatni raz pisał ze szpitala w Westfalii.

Kol. Jerzy Hohendorff po rocznej służbie na froncie dostał się w grudniu do szpitala w Łucku, ale wkrótce miał go opuścić.

Z Nagyvarad donosił kol. J. Ossostowicz, że tam z Chyrowiaków służyli: Korzeniowski, R. Richtman i Hornung. Później dostał się kol. Ossostowicz do szpitala w Krakowie, skąd po operacyi wrócił do kadry.

W szkole oficerskiej w Opawie, jak donosił kol. Józef Birkenmayer był poprzednio kol. Teofil Żelazowski, a teraz jest Tadeusz Strzelecki.

Kol. Stefan Gołębski donosił z Bruck, że zdał egzamin oficerski, a wkrótce spodziewa się wyjechać do Lublina.

Kol. Wit. Rylski, służący przy 56. p. p. pisał: „Od 2 miesięcy jestem w polu i już do tego rodzaju życia przywykłem, wcale to nie tak straszne, jak o tem mówią. Obecnie siedzimy w podziemnych pałacach. Moskale strzelają, lecz nie robią nam wielkich szkód. Artylerya rosyjska strzela zwykle kilkaset metrów dalej od celu. Zachorował jednak wkrótce kol. Wit. na zapalenie płuc i reumatyzm i wyjechał do szpitala, a później do Meranu.

Kol. Juliusz Łubkowski ukończył szkołę oficerską przy 32. p. artyl. polnej w Hajmaskar, skąd donosił, że brat jego Adam ćwiczy rekrutów w Olomuńcu, służąc przy 1. p. ułanów.

Kol. Tadeusz Bandrowski służy od początku wojny w I. Brygadzie Legionów w Kawaleryi sztabowej. Na początku ciężko chorował ale potem wrócił na linię. Kartki polowe, które otrzymywaliśmy od niego były bardzo krótkie i skąpe w wiadomości. W dziele „Szlakiem bojowym Legionów“ na str. 182. znajdujemy o nim taką wzmiankę: „W czasie ostrzeliwania Jezierzan, goni do Oleszy Tadeusz Bandrowski i w największem będąc niebezpieczeństwie, wyratowuje z niewoli rosyjskiej podporucznika Jana Kaufera, komendanta 6-tej kompanii II. pułku“.

Legionista Jacek Pieniążek tak streszcza swoją służbę wojskową: „Po wyleczeniu mej rany w nodze przyjechałem do Jabłonkowa d. 10. listopada 1914. r. na dalsze ćwiczenia. Stąd po dwu tygodniach wyruszyliśmy pod komendantem Dietrichem do Marmarosz. Po nieudałym marszu do Dombo szliśmy 3 dni przez góry do Linevar, a w drodze spotkałem Świeykowskiego. Na rozkaz Exc. Durskiego udaliśmy się do Borzo-Tamtene. Następnie przydzielono mnie do oddziału narciarzy. Z Kirlibaby pod kapitanem Zaruskim dostaliśmy się do Kołomyi w marcu. Z Kołomyi wyruszyliśmy w niedzielę palm. ku granicy besarabskiej, gdzie okopaliśmy się w błotach obok Toporowa. W tych okopach zachorowałem na reumatyzm w nogach tak, że ustać nie mogłem. Wysłano mnie do szpitala w Szigecie, a po dwu tygodniach zacząłem lekką służbę w komendzie pod porucznikiem Wieleżyńskim. D. 22. czerwca przydzielono mnie do artyleryi i pojechałem do Jeżowa na ćwiczenia pod komendantem Boldem, z 9 działami wyruszyliśmy nad Styr. Tu pozostawałem do końca grudnia z małą przerwą, którą spędziłem w Kowlu i na urlopie u rodziców w Krośnie. W mojej bateryi obok mnie służy kilku inżynierów jako zwykli szeregowcy.“

W ostatniej kartce pisał: Wróciwszy z urlopu, zastałem nowe armaty, któreśmy otrzymali na wilię, to też strzelamy teraz częściej, aby Moskale odczuli nasze zadowolenie. W naszych ziemiankach pewne ulepszenie, gdyż porobiliśmy okna z płótna nasmarowanego waseliną, więc jest już jaśniej i można rozróżnić dzień od nocy.

Legionista Jan Ciastoń pisze:

„Spieszę z podziękowaniem za kwartalnik — sprawił mi bowiem wielką radość. Czytając losy Zakładu, zdawało mi się, że przechodzę je razem z nim, widzę grabieżną rękę, niszczącą żmudną pracę W. OO. widzę stroskane oblicza OO., żal mi za wszystkiem — za rokiem, który tyle z młodzieży utraciło — ach ileż ten rok zdziałał złego. Dziś Zakład na nowo podjął swą pracę, która daj Boże, wyda stokrotne plony.

Do czytania kwartalnika, jak się zabrałem to nie wypuściłem go z rąk, aż przeczytałem od deski do deski. Opłatek schowałem na uroczystość, którą w krótkości opiszę. Wilia. Rano o g. 6. raport, po którym wzięliśmy się do uporządkowania ziemianki, aby spędzić jako tako to uroczyste święto — a więc w ziemiance, która ma 3 kroki na szer. a 4 na długość, urządziliśmy stół, przy ścianach ławki, — drzwi

zasłoniliśmy kocem, ustawiliśmy piecyk — na środku ziemianki ustawiłem „tradycyjne“ drzewko, lecz czem go ubrać? nic kompletnie nie mamy, — na szczęście niedawno otrzymał kolega pakunek, a z zawartości jego pozostało kilka fig i orzechów. Zawisły więc na gałązkach owe przysmaki, zawisły patrony, kilka kolorowych papierków, które służyły do związania opłatków, nadesłanych nam z pułku, amarantowo-biała chorągiewka stroiła czubek choinki, zdobnej w 12 łojówek. — Na stole spoczęły podarki, przesłane przez..., ale później o tem... Mimo wodowstrętu, każdy z nas w tym dniu obmył się starannie tak, iż nawet nie potrzebowałem kontrolować tego w plutonie, jak to nie raz czynić jestem zmuszony. Po herbatce „wyfasowanej“ o godz. 12. każdy z nas wyczekiwał w skupieniu tej uroczystej chwili nadejść mającej. — I zebraliśmy się w naszej nie wigilijnej (drugiej) ziemiance, aby powtórzyć kolędy, śpiewaliśmy: „Wśród nocnej ciszy“ — „Przystąpmy do szopy“ i wiele innych kolęd. — Gdy się ściemniło, zebraliśmy się w ziemiance, gdzie odbyło się uroczyste łamanie opłatkiem... I patrzę na to drzewko, z rzadka zasiane migotliwym blaskiem, przypomina mi ono drzewka, które niegdyś miałem, budzi uczucia jakieś dziwne... wywołuje łzę, która jakby zawstydzona spada i ginie w wilgotnej ziemi. Patrzę po twarzach kolegów — na każdej jakaś zaduma — może to ostatnia w życiu — kto wie, ilu z nas spędzi następne święta — w jakich warunkach... Po przełamaniu się opłatkiem, rozdano podarki — są to paczki przesłane przez Ligę kobiet i dzieci szkolne z Bielska. Spłakałem się jak dziecko, gdy w pakunku znalazłem kartkę z napisem: „Nieznajomemu bohaterowi-legioniście przesyła ten skromny podarek z życzeniami „Wesołych świąt“ — uczennica I. kl. wydź. w Bielsku. I wiele, wiele takich podarków. — Po tej uroczystości, siedmiu z grona naszego odeszło na redutę, na służbę do północy — a po północy zmiana... Zapowiedziana była pasterka, która z niewyjaśnionej przyczyny się nie odbyła. Następnie zjedliśmy rosół z grzybkami, kluski (rzecz niebywała) i kasza — widać, że i nasz kucharz się wysadził. Dano nam po strucli — a więc radość! — Zapomniałem donieść, iż podczas tej uroczystości łamania opłatkiem, wyjąłem z portfelu opłatek, załączony do kwartalnika i z listu mojej matki i spożyłem je... a zdawało mi się, że łamię się z Wami Ojcowie... że życzę Wam... moim Kolegom... znajomym. Odwiedził nas później nasz batalionowy kapitan Jakubowski i rozdał książki cenne... które będą miały w przyszłości wielką wartość... Odwiedził nas też pułkownik i kapelan naszego pułku, łamiąc się z nami opłatkiem. O północy rozeszliśmy się na spanie — pierwszy dzień świąt przeszedł spokojnie, gdyż Moskale nie psuli nam uroczystości, jedynie kilka strzałów z placówki.

26/XII. Dziś byłem na patroli. — Godź. 4 rano: księżyc świeci jasno — próbujemy śniegu — kiepsko, gdyż skrzypi pod nogami — z daleka słychać nas będzie. Idzie nas piątka — posuwamy się

z wolna i ostrożnie po przejściu naszych placówek... Bagnet na broń — broń w rękę i hejże w las... Jak na polowanie. — Podchodzimy zwolna, co chwila przystajemy i nadstawiamy uszu, czy co nie słychać. Po minięciu lasu bagna, a skoro i te przechodziliśmy, dała placówka rosyjska do nas kilka strzałów, naturalnie bezskutecznie... Słychać wybornie głosy Moskali — nie są od nas dalej, jak na 300 kroków... Gdyby tak czekać rana, możeby zahaczył jakiego Moskala, lecz brak rozkazu i wyjaśniający się dzień nie pozwolił, wróciliśmy więc, zdając relacyę z otrzymanego rozkazu, a mianowicie o stanie bagien...

Kol. Kazimierz Kalkstein, służący w wojsku niemieckiem donosi:

„Za pośrednictwem mych rodziców otrzymałem gazetkę chyrowską. Była to niezwykła dla mnie niespodzianka i nadzwyczaj miła. — Otrzymałem ją w chwili, gdy powróciłem z okopów strzeleckich po 10 dniach w nich przebytych. — Całe święta Bożego Narodzenia tam przebyłem wśród huku armat tak rosyjskich jak i naszych, strzelaniny karabinowej. — Kawalerya nasza jest „Mädchen für alles“ w czasie pochodu naprzód patrolą w dzień i w nocy, w walce pozycyjnej wspomaga piechotę, pełniąc równą służbę z nią. Widząc, Wielebny Ojcze, że parę mych słów, które pisałem do W. Ojca, zostały umieszczone w gazetce, mam zamiar wysłać dłuższy list do Wielebnego Ojca. — Wprawdzie musi mi W. O. wybaczyć trochę, co się dotyczy mego stylu, gdyż na to trudno uważać. Obecnie chcę W. O. krótko opisać ważniejsze chwile mej dotychczasowej służby wojskowej. Do ułanów zgłosiłem się jako ochotnik za pośrednictwem „landrata“ z Pless pana von Ruperki, dn. 8. września, a przyjęty zostałem dn. 21. września 1914 r. do drugiego pułku ułanów, stojącego w Gliwicach na Górnym Śląsku. — Równocześnie „landrat“ z Pless zajął się mą sprawą jednorocznej służby, która to sprawa została pomyślnie dla mnie załatwiona. Po czteromiesięcznem wyszkoleniu wojskowem w jeździe konnej i w innych ćwiczeniach wojskowych, wyruszyłem dnia 13. stycznia 1915. w pole koleją do Częstochowy, a następnie konno do szwadronu. Podróż konno trwała 4 dni i muszę się przyznać, że nie nadzwyczajnie byłem zadowolony widokiem dróg, pól i miasteczek w Królestwie. Drogi pełne błota i dziur miasteczko i wsie brudne. — Kilka dni przed mojem przybyciem wojska nasze przeszły do walki okopowej, więc prawie cały czas spędził mój szwadron po za frontem na dalszych ćwiczeniach wojskowych, tylko od czasu do czasu część szwadronu pełniła służbę w okopach, wspierając piechotę, czasem nadzwyczaj dodatnio, gdyż raz przy szturmie na okopy rosyjskie otrzymał szwadron pięć żelaznych krzyżów, nadmieniając, że 25 ułanów wzięło do niewoli 50 Rosyan, wdarłszy się mimo silnego ognia artyleryi rosyjskiej i karabinów maszynowych do stanowisk rosyjskich. — Przez pewien czas byłem z drugim jednorocznym odkomenderowany do pułku piechoty, jeżdżąc po rozkazy do sztabu dywizyi. Nieraz trzeba było późno w nocy jechać konno z rozkazem, co przy

złych, błotnistych drogach nie należało do największych przyjemności. — Muszę się przyznać, że przy sztabie pułku piechoty, któremu byłem przydzielony, spędziłem miłe chwile, oficerowie bardzo mili i uprzejmi, niestety pułkownik został szrapnelem ciężko zraniony w nogę. Człowiek przeszło 60-letni, a odbywający już trzecią wojnę, kapitan ze sztabu padł w czasie pochodu naprzód. -- Bardzo często byłem używany za tłumacza, przekładając wiele rzeczy z polskiego na niemieckie. Dnia 12. maja 1915 r. ruszyła nasza dywizya naprzód. Ja zostałem przydzielony do sztabu dywizyi, również w celu roznoszenia rozkazów. Zaraz też zostałem wysłany do wyższej komendy z listami i następnego dnia



musiałem szukać sztabu, co mi się też szczęśliwie udało. — W jednym dniu zrobiłem przeszło 80 kilometrów, mijając po drodze opuszczone stanowiska nasze i rosyjskie. Dalej przez Chęciny do Kielc, gdzie spotkawszy oficera ze sztabu, wręczyłem mu przywiezione listy. Otrzymałem od niego polecenie przenocowania w Kielcach, co też memu wiernemu konikowi, imieniem Daber, przyszło nadzwyczaj w porę, gdyż 80 klm. drogi znużyło go porządnie; oprócz dalekiej drogi musiał biedak nieść mnie wraz z całym rynsztunkiem wojennym, nadto ciężkie, opakowane siodło z mem całem mieniem wojennem. Tutaj w polu W. O. uczy się człowiek cenić konia; koń i jeździec to się całkiem zrastają i tworzą

zupełnie jedną istotę. — Razem z koniem śpi się i je się, wogóle czas cały przebywa się w jego towarzystwie. — To też przy naszej kawaleryi pierwsze miejsce zajmuje koń. On naprzód bywa zaopatrzony, a potem dopiero jeździec zaczyna o sobie myśleć.

Przenocowawszy w Kielcach w szkole, udałem się następnego dnia o czwartej rano na poszukiwanie sztabu. Po drodze spotkałem rotmistrza, który miał nas pod swymi rozkazami, pochwalił mnie za me postępowanie, a otrzymawszy nowy list i dokładne wiadomości o miejscu pobytu sztabu, szczęśliwie dopłynąłem do celu. — Po drodze spotykałem wozy i ciężką artyleryę naszej dywizyi. Wszędzie po drogach przed miasteczkami spotykało się masę żydów, sprzedających papierosy, bułki i kwas do picia. Po raz pierwszy spróbowałem tego trunku, lecz nie miałem już ochoty do następnych prób. Kielce zupełnie nie sprawiały wrażenia wojennego; ludność przechadzała się spokojnie po ulicach, jak w czasie pokoju, tylko patrole uliczne naszej piechoty przypominały czas wojenny. — Dalszą drogę odbywałem ze sztabem, wojska rosyjskie szybko ustępowały, tak że nasza biedna piechota z trudnością mogła w tych upalnych dniach postępować. Gorąco szalenie dokuczało. Dziwiłem się, że Rosyanie tak szybko ustępują, zwłaszcza że okolice Kielc do obrony wymarzone, dopiero kilka mil za Kielcami stawili nam opór poważniejszy, który o mało nie skończył się dla nas porażką, z powodu nie przybycia na czas wojsk austryackich, lecz kawalerya nasza i część pułków, leżących w rezerwie naszej dywizyi wypełniła na czas lukę, jaka powstała z powodu przerwania połączenia z wojskami austryackiemi. Szalone spustoszenie sprawiła nasza ciężka artylerya w idących do szturmu w kilku szeregach Rosyan, lecz rano była chwila dla naszej dywizyi krytyczna. Bogu dzięki opór Rosyan został przełamany, niebezpieczeństwo usunięte. Tego samego dnia zostałem wysłany z meldunkiem do szpitala polowego. Po drodze spotkałem mego wachmistrza, który mnie zawiadomił, że zostałem odkomenderowany na kurs oficerski, odmeldowałem się w sztabie i rozpocząłem poszukiwania mego szwadronu. Po drodze przygrywała mi nasza artylerya. Dopiero po północy wraz z naszą kuchnią polową odnalazłem, przemoczony do nitki, mego rotmistrza, który mi wręczył papiery. Na drugi dzień, zabrawszy me rzeczy, powędrowałem w stronę Niemiec. Naprzód zabrałem się z wozami jadącymi po amunicyę, następnie złączywszy się z podoficerem artyleryi, zarekwirowaliśmy wózek i konia ku wielkiemu niezadowoleniu chłopa, lecz niestety nie miałem zupełnie zamiaru iść kilkadziesiąt mil do kolei. Po przybyciu do Kielc i przenocowaniu udałem się autem z rotmistrzem z A. O. K. do Włoszczowej, t. j. do stacyi kolejowej. Tam po uwolnieniu się od towarzystwa pewnych niemiłych stworzonek, które się w polu z żołnierzami zaprzyjaźniają, udałem się koleją do Częstochowy, a po przenocowaniu dnia następnego dopłynąłem do Gliwic.

Po przedstawieniu się rotmistrzowi wyruszyłem po kilku dniach

pobytu w Gliwicach na kurs do Schleswig-Holstein, gdzie odbywałem kurs oficerski przez 10 tygodni. Przez kilka tygodni przebyłem w garnizonie, a następnie z początkiem września ruszyłem z powrotem do mego szwadronu. Po przybyciu zostałem w kilka tygodni zamianowany podoficerem. Obecnie leżymy poza frontem, w dawnym rosyjskim obozie polowym (Truppenübungsplatz). Pełno tu małych domeczków przeznaczonych na letnie mieszkania. Charakter rosyjskich obozów polowych całkiem odmienny od naszych niemieckich. Domki te i stajnie trzeba było dopiero przysposobić na kwatery zimowe, obijając je papą, okładając gnojem. Wiele budynków trzeba było nowych postawić, wiele wyreperować, postawić piece, pozwozić drzewo na opał, za to obecnie ma się dobre i ciepłe kwatery zimowe. Na przemian pełnimy służbę w okopach wraz z piechotą o kilkaset metrów od okopów rosyjskich. Mnie służba wypadła w same święta i Nowy Rok, wprawdzie nie ciężka, lecz czasem trzeba było brodzić po kostki w wodzie. Obecnie chcę słówko powiedzieć o ludności w Królestwie. Sympatyczna, miła i wesoła, podczas gdy tu na Litwie ludność robi wrażenie melancholiczne i smutne. Okolice Litwy ze swymi lasami, bagnami, krętymi strumieniami są dla mnie pociągające, podobają mi się bardziej niż okolice Królestwa. Jeżdżąc wiele po okolicy mogłem się ludności, o ile takowa pozostała, dosyć dokładnie przypatrzyć. Wiele wiosek opuszczonych przez ludność, tu i ówdzie pozostała jakaś rodzina, wiele spalonych tak, że z nich śladu nie pozostało. Po drogach wiele grobów ludzi, wypędzonych przez Rosyan, czasami spotyka się małe cmentarze po 30 i 20 grobów, wiele małych mogiłek, świadczących, że zawierają szczątki dzieci, które nie były w stanie podołać trudom podróży w tak ciężkich warunkach. Wiele razy przychodziło mi na myśl, za co los tak ciężko naród nasz karze, który przecież był obojętnym w przyczynach, które tę straszną wojnę spowodowały, lecz pocieszam się, że ta próba czy kara, da Bóg, wyjdzie na dobre, umocni ten naród i będzie początkiem nowego, lepszego życia i bytu. Daj Boże! Co do wyglądu wiosek, to są one przeważnie wzdłuż drogi budowane, domy mieszkalne tuż przy drodze, nie wysokie, kryte słomą, izba mieszkalna jedna z dużym piecem do pieczenia chleba, w którym równocześnie gotuje się strawę; oryginalna jest forma tutaj używanych garnków. Do wyjmowania i wsadzania do pieca używa się pewnego rodzaju widełek, przypominających koło. Obok izby mieszkalnej znajduje się jedna lub dwie komory, służące na skład kartofli itd. Stajnie i stodoły mocno budowane znajdują się w odległości kilku kroków od domu mieszkalnego. Okolica tutejsza przywiodła mi na pamięć „Pana Tadeusza“ tak wiernie w nim wszystko opisane: lasy, domy, wioski że się temu zdziwiłem. Widziałem też „Świteź“, bardzo ładne jezioro.

Legionista Władysław Bochenek, służąc przy I. Brygadzie, IV. baonie, 3 komp., przebył najpierw kampanię Kielecką i brał udział w walkach następujących: Laski, Anielin, Brzechów, Ulina mała. Następnie

zachorował i leczył się w szpitalu w Jabłonkowie. Odzyskawszy zdrowie, powrócił nad Nidę, gdzie przebył od 3. marca do 10. maja. Następnie walczył: Wszachów koło Łagowa, Żerniki, Ożarów, Tarłów, Urzędów, Strzeszkowice, Jastków, pod Lublinem Józefów, koło Lubartowa Kamionka i Wysoko Litowsk. W kampanii Wołyńskiej walczył pod Kostiuchnówką, Sobieszycami, Jabłonką, a pod Kuklą został d. 22. października ranny w rękę, którą leczył w szpitalu najpierw w Kowlu, Rzeszowie a następnie w Wiedniu. Kilka epizodów z walk opisał w czerwcowych numerach „Kurjera Polsk.“, wychodz. w Morawskiej Ostrawie. Z wielką sympatyą wspomina o swych najbliższych przełożonych: kap. Fleszerze, Śmigłym Rydzu, Wyrwińskim, oraz niezwykłym dziewiętnastoletnim poruczniku z Rzeszowa Kuli, który dopiero w czasie wojny zdał maturę.

Dr. Zygmunt Glixelli ze Lwowa donosi, że wstąpił do służby sądowej, oraz że widział się niedawno z kol. Kazimierzem Romańskim, służącym przy 13. p. ułanów, którego starszy brat Tadeusz zginął na wiosnę pod Hryniowem.

Kol. Adam Strzelecki donosi: „Otrzymawszy kartkę powołującą do wojska, przerwałem przygotowania do ostatniego egzaminu i udałem się do kadry 10. p. dragonów w Neuhaus, a potem przeszedłem do 1. p. dział polnych w Krakowie, stąd 4. października ruszyłem w pole. — Po bitwie pod Limanową w połowie grudnia rozchorowałem się i zawieziono mnie do szpitala w Peszcie, gdzie widywałem się z O. Wachem, znajomym z Chyrowa. Po odbytej kuracyi w kwietniu 1915. wróciłem do kadry, a w lipcu wyruszyłem w pole do tej samej bateryi, przy której pierwotnie służyłem, i pozostaję dalej na placu boju. Brat mój Tadeusz jest jeszcze w szkole oficerskiej w Opawie, ale również wkrótce w pole wyruszy“.

Inż. Witold Scazighino, jako elektrotechnik służy od początku wojny widać w swoim zakresie specyalnym, bo jego adres: Radio 5. Feldpost 30.

Por. Emil Czapliński, służący przy strzelcach tyrolskich, już się z rany wyleczył i wrócił na linię.

Kol. S. Chobrzyński donosi, że jest razem z kol. Janem Mikułowskim na włoskim froncie.

Podchorąży leg. T. Graff donosi, że służy w IV. p. I. b. 2. komp.

W ostatnim czasie wstąpił do służby w legionach kol. Kamil Matkowski.

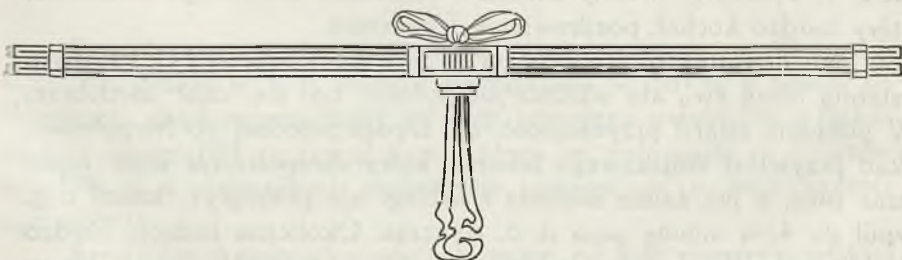
Dr. Witold Bełza w Zurychu miał w dniu poświęconym rocznicy styczniowego powstania odczyt pod tyt.: „Idea bojów styczniowych a chwila obecna“.

Wyżej umieściliśmy na liście, służących w wojsku ś. p. Leopolda Bohosiewicza, tymczasem otrzymaliśmy wiadomość ze szczegółami śmierci jego, — więc prostujemy ten błąd, gdyż w wojsku zmarły nie służył.

W zebraniach Związku Koła Lwowskiego, jak donosi Dr. Salkowski, brali udział w ostatnich czasach: Dr. Aleksiewicz, O. Józef Antoniewicz, J. Duczyński, Dr. Glixelli, X. Dr. Jełowicki, X. A. Dobiecki, M. Kruczek, Dr. Nahlik, M. Cichocki, Dr. J. Olszewski, Prof. S. Głowacki, Dr. I. Riedl. A. Riedl, L. Gluziński, J. Polaczek, S. Sokalski, S. Bromilski, K. Toepfer, W. Richtman i K. Gołębski.

Każdy z Czytelników widzi, że musimy z listów drogich nam Chyrowiaków opuszczać, wiele jako to wciąż powtarzające się w listach wyrazy radości z powodu zachowania i otwarcia Konwiktu, jako też podziękowania za otrzymany zeszyt Kwartalnika. Aby treść urozmaicić wybieraliśmy ustępy nowsze, oraz tyczące się samych Chyrowiaków. Zabierając się z pośpiechem do wydania poprzedniego zeszytu, mieliśmy do pokonania wiele przeszkód, ale radość, jaką sprawiła gazetka naszym Czytelnikom na święta zwłaszcza doręczona w polu była sowitym wynagrodzeniem za wszelkie trudy. Za liczne błędy drukarskie, jakie się w tym zeszycie znajdują, przepraszamy.







PAMIĘCI ZMARŁYCH.

Ś. p. O. Włodzimierz Prochyra T. J.

Długoletni prefekt dywizyjny w Chyrowie, zmarł w Staniątkach d. 8. stycznia 1916. r. Urodzony w r. 1874., nauki gimnazyalne pobierał w Brodach, do zakonu wstąpił w 1893, święcenia kapłańskie otrzymał w 1905 r. Szereg lat pracował jako wychowawca w Konwikcie i zasłużył sobie na miłość i przywiązanie wielu wychowanków. Jeden z nich w grudniu wróciwszy do kraju z tułaczki, pisząc do nas, zapytuje: „Gdzie jest O. Prochyra, o którym słyszałem wśród kolegów jak największe uznanie, bo jego otwartość i sprawiedliwość pozyskała nas wszystkich, a choć trzymał nas ostro, mimoto kochamy go i szanujemy.“ Podobne też świadectwa zaczęły nadchodzić od innych Chyrowiaków, gdy się rozeszła wieść o jego zgonie.

Początek wojny spędził O. Prochyra pod Rzymem, gdzie w jednym z włoskich konwiktów uczył języka niemieckiego, skąd wrócił na wiosnę roku zeszłego, a w maju został przeznaczony do Staniątek. Obok starożytnego klasztoru i kościoła PP. Benedyktynek w Staniątkach pod Krakowem jest mała rezydencya, gdzie przebywa trzech OO. Tow. Jez. Przed rokiem przechodziła przez Staniątki linia bojowa, a o męstwie i dobroczynnej działalności ksieni tamtejszego klasztoru czytaliśmy w dziennikach. D. 11. grudnia zginęli tam od granatu ś. p. O. W. Płukasz i znany najstarszym Chyrowiakom O. Jan Kurcz; po ich śmierci pozostał tylko O. Jan Holik, więc dla pracy w kościele przybył najpierw O. S. Twardy, a następnie O. Prochyra. Bawiący chwilowo w Staniątkach w czasie świąt O. Krysa w nowy rok widział się z O. Prochyrą i przywiózł od niego dla naszego Koła T. P. Skargi drobny zasiłek i serdeczne dla całego Konwiktu, który bardzo kochał, pozdrowienia i życzenia.

We czwartek 6. stycznia na Trzech Króli odprawił O. Prochyra ostatnią Mszę św., ale wkrótce się położył, bo się czuł niedobrze. W południe stracił przytomność. Br. Dydek pojechał do Niepołomic, skąd przywiózł wojskowego lekarza, który skonstatował silne zapalenie płuc, a już żadne starania i zabiegi nie pomogły: umarł o g. wpół do 4. w sobotę rano d. 8. stycznia. Okoliczna ludność bardzo go w tym krótkim czasie pokochała, toteż w pogrzebie wzięła liczny udział.

Ś. p. Inż. Jerzy Węgierski.

Mąturzyści z r. 1904. ogłosili swój zjazd po 10 latach na wrzesień 1914. w Chyrowie, a na zaproszeniu między podpisanymi był i Jerzy Węgierski; zjazdu z powodu wojny nie było, a 29. września kol. Jerzy Węgierski już nie żył.

Zmarły urodził się w Warszawie w r. 1883., a od klasy przygotowawczej aż do matury kształcił się w Chyrowie. Zawsze wzorowy i celujący uczeń, może nad wiek nawet poważny i bardzo sumienny młodzieniec i konwiktor, był kochany i szanowany zarówno od kolegów jak i wychowawców. D. 8. grudnia 1900 r. został sodalisem, a w r. 1902/3. był prefektem Sodalicyi.

Po zdaniu z celującym wynikiem matury udał się na studya techniczne najpierw do Lwowa, a potem do Berna. Nie mając wystarczających środków dla spokojnej nauki, tak w czasie wakacyi jak i w ciągu lat szkolnych pracował na utrzymanie przez udzielanie lekcyi i w ten sposób o własnych siłach dobił się stanowiska inżyniera. D. 2. maja 1914. r. poślubił pannę Stefanię Domaszewską, a ślub ich odbył się we Lwowie w kościele Maryi Magdaleny.

Kolega zmarłego, X. Kanonik Dr. E. Jełowicki pisał: Jerzy zmarł we Lwowie wskutek choroby nerkowej, połączonej z komplikacyami. Bardzo się pobożnie gotował do spowiedzi w czasie choroby; wezwano księdza, ale nagle skończył nim ksiądz zdołał nadejść.

Ś. p. Dr. Tadeusz Sabatowski.

Koncepista Namiestnictwa zmarł d. 5. października 1914. r. na gruźlicę płuc i mózgu. Sodalis i członek Związku Chyrowiaków, męczył się bardzo i cierpiał też duchowo wiele, widząc cały kraj w rękach Moskali. Cierpienia znosił z wielkiem poddaniem się woli Bożej, czerpiąc siły w częstem przyjmowaniu Komunii św.

Ś. p. Filip Axentowicz.

Syn słynnego profesora-malarza, złożył maturę w Chyrowie w r. 1912. Służył w 3. p. ułanów początkowo w Stryju, a potem na Węgrzech, skąd otrzymaliśmy od ś. p. zmarłego ostatni list z Rakamaz w jesieni 1914 r.; zginął ś. p. Kolega na polu walki d. 2. września 1915, a w dziennikach znaleźliśmy następujące o jego śmierci szczegóły:

Ś. p. Filip Axentowicz poniósł śmierć od kuli nieprzyjacielskiej w dniu 2. b. m. podczas utarczki patroli kawaleryjskich. Ugodzony

pod Silnem (35. klm. od Łucka,) kulą nieprzyjacielską w lewy policzek, zginął na miejscu. O bohaterskiej śmierci młodzieńca, który przed pół rokiem zaledwo rozpoczął służbę frontową i jako jednoroczny ochotnik uzyskał rangę chorążego, oraz srebrny medal waleczności, zawiadomił rodziców komendant pułku, podpułk. Götz, listem pełnym uznania dla męstwa poległego oficera, którego korpus oficerski ze szczerym opłakuje żalem. Ś. p. Filip Axentowicz był studentem prawa Uniw. Jagiel. i liczył lat 22. Pogrzeb wojskowy odbył się w Silnie w dniu 3. b. m. Skromny krzyż drewniany, ręką żołnierzy ciosany, a na nim napis odpowiedni, zaznaczają ślad grobu przedwcześnie zgasłego młodzieńca.

Ś. p. Kazimierz Heyda.

Blizki sąsiad Chyrowa, bo syn inżyniera salinarnego w Lacku pod Dobromilem, ukończył całe gimnazyum i zdał maturę w Chyrowie w r. 1914. W ostatnich dniach sierpnia, zanim wyruszył z drużyną Legionistów z Dobromila, na pożegnanie przybył do Chyrowa. Służył w II. p. Legionów polskich, w 13. kompanii, IV. batalionie i został chorążym. Legionista Jan Jurasz opowiadał, że po raz ostatni widział się z ś. p. Heydą w czasie bitwy pod Rafajłową.

W pierwszej liście strat na str. 19. przy nazwisku czytamy: „poległ pod Jabłonką“, ale bez daty. W dziele zaś „Szlakiem bojowym Legionów“ — w rozdziale opisującym walki w dolinie Łomnicy na str. 132: „W ciągu dwu tygodni odbyto 33 patroli. Szły patrole oficerskie często z podpor. Godziejewskim na czele. D. 14. lutego 1914. w czasie patrolowania zginął chorąży K. Heyda z Dobromila, dzielny żołnierz IV. batalionu, chwilowo przydzielony do tej kampanii, wraz z nim ginie leg. Hawrat. D. 17. lutego łączy się kampania Godziejewskiego z grupą Hallera w Sołotwinie“. Niżej zaś czytamy: „D. 17. rano, Sołotwina wraz z Zarzeczem była w ręku Legionów polskich. Major Roja po raz drugi zdobył to miasto na Moskalach“; z ust zaś kapelana Legionów X. Józefa Panasia, który poległego ś. p. Kolegę chował, słyszano, że zginął ugodzony kulą w skroń d. 16. lutego, a konając gorąco się modlił.

Ś. p. Alfred Kobak.

Kolega z Chyrowa ś. p. Heydy służył w I. p. Legionów, a zginął według listy strat w bitwie pod Łowczówkiem, dokładnej jednak daty ustalić nie możemy. Na kilka dni przed śmiercią opowiadał w N. Sączu O. Mayerowi o bitwie pod Marcinkowicami, w której brał udział.

Legiony z N. Sącza wyruszyły d. 22. grudnia 1914., a bitwa na wzgórzach pod Łowczówkiem trwała do 24. grudnia włącznie. Według korespondencyi zamieszczonej w „Wiadomościach Polskich“, a powtarzanej przez dzienniki, ś. p. Kobak padł podczas szturmu na bagnety.

Oto wyjątek z korespondencyi podpor I. L. S.:

...Huknęły strzały, zatrzaskały zamki, rozpoczął się wściekły ogień. U wylotu parowu w pole, pięciu pozostawionych tam chłopców sypało rowem wzdłuż wąwozu, zalanego już przez Moskali — nas ze 20 — strzelaliśmy do nich z boku. Nie upłynęło pięciu minut, gdy Moskale, przerażeni naszym ogniem, skryli się w parowie.

— Bezpiecznik! Wstać do szturmu! Hurra!

W biegu poczułem, jak gdyby mnie kto młotem w stopę uderzył. Zachwiałem się na nogach, lecz potem biegłem dalej naprzód. Dopadliśmy brzegu parowu.

— Otoczyć wąwóz i z góry psubratów!

Rozkaz został momentalnie wykonany i zanim zdążyłem się przedrzeć z broczącą we krwi nogą przez krzak, usłyszałem na prawo od siebie z wąwozu głos szeregowca Kurczyka (odznaczonego później krzyżem za waleczność):

— Kidaj orużie! Ruki w wierch!

Z wąwozu zaczęli wypadać ku nam bezbronni wystraszeni Moskale. Było ich około 50. Wyznaczyłem kto ma odprowadzić jeńców, paru z nich naprędce przesłuchałem, poczem rozejrzałem się po moich bohaterach. Twarze rozgorączkowane, oczy błyszczące tryumfem — atak odparty. W krzakach leżą i jęczą ranni Moskale. Opodal na trawie podtrzymują koledzy na rękach dogorywającego Tadzia Zboińskiego — zmarł cicho w parę minut. Trochę dalej leżał martwy Alfred Kobak. („Reforma“ z d. 23. kwietnia).

Ś. p. Józef Chełkowski.

Dawny konwiktor Chyrowski zmarł d. 5. grudnia 1915. r. w Arozie na ziemi Szwajcarskiej, w 17. roku życia. Rozwijająca się już od dawna choroba piersiowa przecięła pasmo dni młodego życia, pomimo najtroskliwszej pielęgnacyi lekarskich i nie odstępującej od łoża chorego matki. Ostatnią rzecz, jaką przed śmiercią przeglądał i czytał z radością, był nadesłany z Chyrowa kalendarz Serca P. Jezusa gazetka; wyglądał tylko, donosiła stroskana matka, obiecanego listu od Br. Buzalskiego, który niestety nie doszedł.

Na dwa dni przed śmiercią zaopatrzony był ostatnimi Sakramentami, a ostatniemi słowami umierającego były rzeczywiście Imiona: Jezus, Marya, Józef. Wyjeżdżając na kuracyę z domu, prosił Ma-

mę, aby zabrała garstkę ziemi, z rodzinnej wioski, bo pragnął na polskiej ziemi umierać. Toteż, jak nam donosi p. Chełkowska, zwłoki zmarłego do Borkowa w Kaliskie miały być przewiezione i w rodzinnym grobie pochowane.

Ś. p. Adam Hołyński.

Uczeń kl. I. zmarł tegoż dnia 5. grudnia w infirmeryi konwiktowej, w której większą część swego krótkiego pobytu w Chyrowie spędził, bo tylko dwa tygodnie zaledwie był w szkole. Śmierć spowodowała ciężka komplikacya, wywołana reumatyzmem stawowym, z którym już do Konwiktu przyjechał. Przygotowany przez O. Krokoszyńskiego do I. Komunii św., przyjął ją bardzo pobożnie, jakby czując, że ma być dla niego ta Komunia rzeczywiście posiłkiem na drogę do wieczności. Pielęgnujący go w infirmeryi podziwiali wielką małego Adasia uległość, wdzięczność, a w chorobie cierpliwość. Trumnę z ciałem młodego Kolegi przewieziono do Brelikowa, koło Olszanicy.

Ś. p. Leopold Bohosiewicz.

Obywatel ziemski, urodzony w r. 1883. kształcił się w Chyrowie od r. 1891. do 1902. — Na Bukowinie we własnym dworze w Baniłowie został zabity przez kozaków d. 25. listopada 1914. r.

O strasznym tym wypadku otrzymujemy następujące szczegóły:

Dwór pp. Bohosiewiczów stoi zdala od wsi. W krytycznym dniu, gdy cała rodzina i goście przybyli z okazyi imienin żony zmarłego p. Katarzyny z Jakubowiczów siedzieli przy obiedzie, dano znać do dworu, że we wsi strzelają i rabują kozacy. Rzeczywiście koło godz. 4. ujrzano pędzących kozaków w stronę dworskich zabudowań, a jeden z nich wyprzedził innych i wjechał na podwórze. Ś. p. Leopold wyszedł ze swoim kuzynem naprzeciw. Kozak z karabinem, przygotowanym do strzału, stojąc oddalony na kilka kroków, zapytuje: „gdzie wasze wojska?“ — na co zmarły odpowiedział: „nie wiem“. — „Łżesz“, na to kozak i wystrzelił, rozdzierając z tak blizka prawą pierś i dłoń prawej ręki. Straszny ból i okropny upływ krwi spowodował śmierć w cztery godziny po strzale, choć przytomnym był do samego końca. Wśród kozaków znalazł się felczer, który go nawet obandażował, ale już napróżno. Ciało zmarłego pochowano najpierw w ogrodzie, a po roku przewieziono na cmentarz w Baniłowie ruskim.

Zmarły w tak smutnych okolicznościach osierocił żonę i dwu małych synków.

R. in p.



ZJEDNOCZENIE NARODOWE.

Prezydyum Związku krajowego Sodalicyi męskich odbyło d. 22. listopada 1915. r. w Krakowie posiedzenie, na którem Tadeusz hr. Łubieński, otrzymawszy z wojska urlop, miał następujący referat, umieszczony w styczniowym zeszycie „Sodalis M.“

* * *

Na odbudowanie Polski, dwa złożyć muszą się czynniki: To co nam dadzą ci, w których ręku jesteśmy i to, co sami zrobimy... Wspaniałomyślność Monarsza określić może granice Polski, ale określić jej granice, nie znaczy jeszcze ją wskrzesić.

Obudzić ducha narodu, tego ducha uszlachetnić, kazać mu złączyć wszystkie siły żywotne w jedną potęgę, oto co znaczy wskrzesić Polskę; a to możemy zrobić tylko my, Polacy z krwi i kości, synowie polskiej ziemi.

Czy przygotowaliśmy się do tego zadania? Jak użyliśmy długich lat samorządu narodowego, aby naprawić błędy, które zguby naszej były przyczyną?

Niestety, użyliśmy go na to, żeby sami okuć się w ciężkie kajdany niesnasek i wojny domowej. Kraj nasz rozbity na tyle stronnictw politycznych, bez żadnej wspólnej dyrektywy, bez jednolitego kierunku pracy stronnictw, z których niejedno, nawet wśród tych strasznych chwil zmagania się całej Europy na polskiej ziemi, nie zapomniało o partyjnych zawiściach i osobistych porachunkach.

Kto takiego narodu będzie się bał, kto liczyć się z nim będzie, co naród taki stworzyć jest zdolen?

Przejęliśmy żywcem błędy przodków naszych, ale wina nasza gorsza jak ongi; wówczas w zaślepieniu nie zdawano sobie sprawy z tego co się dzieje, nie zdawano sobie sprawy z następstw. Wady społeczeństwa, błędy historyczne widzi się jasno dopiero wtedy, kiedy się widzi

ich skutki, nieraz w dziesiątki lat potem. Myśmy skutki widzieli, odcierpieliśmy je, ale to nic nie pomogło.

W rozebranej Polsce, rozbiory następowały po sobie dalej w stosunku do otrzymywanej wolności narodowej; każda partya polityczna to nowy rozbiór Polski, to nowe rozbicie się na coraz to drobniejsze a wrogie sobie obozy bratobójczej wojny.

Bezpośrednią przyczyną rozpadnięcia się granic Polski była ekskluzywność jednej warstwy narodu, oparcie li tylko o nią całego ustroju państwa.

Potem w łonie tej warstwy zanik moralny i niesnaski, zwalczające się partye, z których każda niezawodnie najszlachetniejsze miała zamiary, za słaba jednak, żeby coś zdziałała; zamiast sięgnąć po przewagę do tych biernie przypatrujących się mas innych warstw, sięgnęła za granicę po pomoc... po niewolę...

Coby się tak było stało, żeby szlachetniej myśląca część wyciągnęła rękę o pomoc do ludu, obudziła w nim wówczas ducha, życia narodowego i dała mu możność głosu i czynu?

Wiele, wiele od tego czasu się zmieniło. Znikła ekskluzywność szlachty, choćby dlatego, że wyszło z jej rąk to, co tej ekskluzywności dawało podstawę... ziemia... a za nią władza.

Ale o dziwo, ten błąd, tak słusznie potępiany, zamiast zginąć przeszedł drogą spadku na lud. Nikt dziś nie może zaprzeczyć ekskluzywności ludowej, tak daleko idącej, że poza wsią nie chce dopuścić nikogo nie wyłączając nawet i te, choć pod strzechą urodzone jednostki, które wybiwszy się charakterem i zdolnościami na najwyższe nieraz w społeczeństwie stanowiska, naturalnymi ludu przewodnikami stać się powinny. Ale nie na tem koniec. Ta ekskluzywność staje się jakąś niemożliwą do wytępienia w całem społeczeństwie plagą, bo kiedy równouprawnienie z poczucia sumienia i prawa zrównało prawa i obowiązki, zasługi i winy, kiedy na wszystkich szczeblach hierarchii społecznej, stoją obok siebie, bez żadnej różnicy, szlachcic i nieszlachcic, mieszczanin i wieśniak, ekskluzywność klasowa stała się zasadniczą cechą i myślą przewodnią wszystkich stronnictw politycznych.

Inaczej bowiem nie można sobie wytlómaczyć, dlaczego większość stronnictw, jakkolwiek one zdążają do tego samego celu, dobra ojczyzny, w ciągłej ze zobą pozostaje walce; dlaczego, zamiast przedewszystkiem we wzajemnem zrozumieniu i wzajemnej ustępliwości szukać korzyści, wolały sięgnąć po nie, każde z osobna, do centralnego rządu. Stąd to te walki przy wyborach, każde stronnictwo musiało się starać o największą ilość posłów, aby być właśnie tym stronnictwem, z którem rząd centralny liczyć się będzie. Punkt ciężkości polityki krajowej przeniósł się z kraju do Wiednia, w kraju pozostała walka wyborcza, przeplatana kompromisami, które chyba niczem innem nie są, jak zawieszenie broni,

by, osiągnąwszy wyczekiwaniem odpowiednią chwilę, nieopatrznemu wrogowi zadać cios śmiertelny...

Skutek tej polityki na zewnątrz kraju był taki, że rząd z czasem na seryo ze żadnem nie liczył się stronnictwem, żadnego nie uznał, i uznać nie mógł za decydujące w narodzie; wewnątrz zaś kraju samorząd i wolność narodowa, zamiast podnieść poziom etyczny społeczeństwa i zorganizować jego siły do wspólnej, jednolitej i celowej pracy, zróżniczkowały społeczeństwo tak dalece, że do samoistego bytu uczyniły je tak, jak dzisiaj jest — jakby niezdolnem.

Ta krytyka postępowania naszego aż nadto uzasadniona skutkami, które dzisiaj bardziej, niż kiedykolwiek, odczuwamy... nie jest krytyką naszych polityków — posłowie są tacy, jakim jest naród, który ich wybiera; są oni tylko wyrazem wad i zalet całego narodu; ale jest wołaniem o upamiętanie się, więc nie zwalać nam dzisiaj tych ciężkich win jedni na drugich, ale wspólnie uderzyć się w piersi, wspólnie sobie darować i czynić to, co każdemu, swoją wiarę i ojczyznę kochającemu Polakowi, czynić wypada: ...„*doprowadzić do zjednoczenia narodu*“...

Wiele też i gorących padło już słów w tym kierunku, wiele dobrych chęci ze wszystkich stron się objawia, ale to nie dosyć... to nie wystarcza... temu tak głęboko zakorzenionemu złu przeciwstawiać trzeba pracę zorganizowaną... realną... konsekwentną... wytrwałą!... Nowe legiony stanąć muszą do tej walki duchowej, walki ciężkiej, bo mającej przed sobą wroga, którego nam Polakom trudniej nieraz zwalczyć, jak poświęcić życie... wroga co się zowie... „miłość własna“...

To być nie może, aby w tej wielkiej chwili, kiedy nam z łaski szlachetnego naszego Monarchy, tak bardzo z nami współczującego, o odbudowaniu ojczyzny mówić wolno... to być nie może, mówię, by nie obudził się duch narodu, duch tych, co w imię tej chwili zasiali tysiącami mogił polskie dąbrowy i obce krainy... duch tych co jękiem cierpienia i brzękiem wleczonych kajdan napełnili katorgi i więzienia głosem, wołającym poprawy... Ci chyba wstaliby z grobów i rzuciliby nam w twarz swe prochy i niezetlałe kości mówiąc: „W was za życia nie ma nic wiecej, prócz tej zgnilizny... kiedy was nie stać wznieść się za białym Orlem ponad niskie i nędzne... kiedy was nie stać na złożenie ofiary dla matki Ojczyzny, dla której myśmy rzucili wszystko“.

Nie wierzę w to, aby uczucie tak nieokreślone, a mimo to, tak pewne, które serca nasze ogarnia, że świtać poczyna dla narodu naszego jutrzenka lepszej przyszłości, nie potrafiło porwać nieprzepartym prądem tego narodu do zjednoczenia się, porwać nawet tych, których hasłem były do tego czasu: nienawiść lub własny interes.

Więc do walki Polacy i Polki! — niechaj nie będzie zakątka polskiej ziemi, gdzieby to hasło „do boju... do pracy!“ narodu nie doszło!

Program tej pracy jest następujący:

Punkt pierwszy: Wszystkie sporne kwestye w narodzie rozstrzygnąć

przez ułożenie i przyjącie „katechizmu narodowego“, mającego być odtąd jedyną wytyczną w naszem życiu wewnętrznem.

Projekt katechizmu:

§ 1. Religia katolicka musi być uważana jako podstawa bytu narodowego.

Uwaga: Zniknąć musi ze słownika nowej Polskiej słowo klerykał... i wszystkie, z tego pojęcia wynikające konsekwencye, wychodząc z założenia, że wszyscy jesteśmy katolikami, zachowującymi mimo to swą najzupełniejszą samoistność polityczną i społeczną. Społeczeństwo jednak musi zrozumieć, że kiedy za kompetentnych stróżów religii, czyli nauki wiary i obyczajów, uważamy duchowieństwo, musimy mu też przyznać prawo wykonywania nie w teoryi, ale w naszem życiu, swego posłannictwa.

Nie może być tedy uważane to za sięganie po władzę świecką lub mieszanie się w nie swoje rzeczy, jeżeli duchowieństwo, widząc w jakimkolwiek objawie życia społeczeńsrwa religię na szwank narażoną... wytyka to zło i pragnie je usunąć. Nie może być uważane za poddawanie się katolików w rzeczach świeckich, władzy duchowej, jeżeli idąc za wskazówkami książąt Kościoła, zmieniają o tyle tylko swoje zapatrywanie czy postępowanie, o ile one kolidowały z nauką wiary i obyczajów.

§ 2. Wszystkie warstwy społeczne uważać się muszą za członków jednej wielkiej rodziny, które darować sobie muszą krzywdy wzajemnie i pozbywając się uprzedzeń, wspólnie nad swojem dobrem pracować mają.

Uwaga: Zniknąć muszą ze słownika narodu polskiego takie słowa, jak arystokrata, demokrata, ze wszystkiemi słów tych konsekwencyami, wychodząc ze założenia, że sprawiedliwą i dostosowaną do potrzeb pomocą otoczone być mają wszystkie warstwy społeczne. Majątek lub urodzenie nie powinny być przywilejem, ani przeszkodą w uzyskiwaniu przewodnich stanowisk w społeczeństwie. Stojąc na tych zasadach tym tylko ludziom władzę do ręki dawać należy, którzy charakterem i zdolnościami największą dają rękojmię sumiennego wypełniala powierzonych im obowiązków. Nie szukać firmy, ale ludzi.

§ 3. Ugrupowanie w przyszłości stronnictw politycznych powinno być takie, aby wykluczoną w nich była możliwość walk na tle stanowem lub klasowem. Możnaby to osiągnąć przez stronnictwa, stworzone na tle ekonomicznem, względnie zawodowem.

Uwaga: Zgrupowanie pokrewnych sobie zawodów wytworzy stronnictwa o granicach naturalnych, a zatem trwałych, o składzie ludzi tę samą rolę w społeczeństwie odgrywających... cierpiących w większej lub mniejszej mierze, ale zawsze z tego samego źródła, swój byt.

To wywoła o wiele zdrowsze w łonie samego stronnictwa stosunki,

aniżeli dzisiaj, kiedy w stronnictwach nic innego po większej części nie łączy ludzi, jak myśl polityczna, robiąca z dnia na dzień z najlepszych przyjaciół, śmiertelnych wrogów.

Trzeba też dojść do przekonania, że uzyskiwane przez poszczególne stronnictwa korzyści, choćby najsłuszniejszych, ale gwałtownymi i depra-wacyjnymi środkami zdobytych, nie tylko nie jest żadnym dorobkiem narodowym, ale nawet nie jest trwałą korzyścią.

Środki te wywołują u jednych rozgoryczenie, rzucając cień na najszlachetniejsze cele uczą drugich imać się tych samych środków, demoralizują i rozbijają całe społeczeństwo. Siłę narodu stanowi nie przewaga jednego ze stronnictw, ale wzajemna ich zgoda i wyrozumienie.

§ 4. Należy się bezwzględne posłuszeństwo władzy, która z woli całego narodu na jego stanęła czele.

Posłuszeństwo nie tylko polega na wykonywaniu rozkazów... ale również na potępianiu tych, którzy z pod karności się wyłamują. Jedyną, a najskuteczniejszą karą dla tego rodzaju jednostek jest wykluczenie ich zupełne z życia społecznego. Oto program.

Nie mówię z tym, ale z *takim* katechizmem w ręku, musimy iść wszędzie, musimy się go nauczyć na pamięć, do rannego i wieczornego dołączyć pacierza, śmiejąc się czy płacząc powtarzać go ciągle, zaszczepić go sobie w krew, aby w niej zabił tak bardzo zastarzałą chorobę.

O jak piękną, jak doniosłą rolę odegrać tu mogą kobiety! Któż to bowiem lepszym rzecznikiem tej pieśni zgody i miłości będzie, jak nie te, które same są sercem narodu, które pierwsze w sercach polskich dzieci zakładają podwaliny miłości Boga i Ojczyzny!

Niechaj więc matki i żony nasze pracują z poświęceniem i zapałem nad dziełem duchowego odrodzenia, niechaj się staną po raz drugi życiodajnemi karmicielkami do nowego życia obudzonych pokoleń! ...

Więc apostolstwo katechizmu narodowego! Skoro zaś to apostolstwo obejmie cały naród, skoro po wsiach i miastach skutki jego odczuwać się będzie, nastąpi jakby trzeci akt programu. O ile na to okoliczności pozwolą, urządzić należy wielki zjazd wszystkich decydujących czynników w narodzie. Celem tego zjazdu będzie: Ułożenie jednej wielkiej, jak najszerzej zakrojonej organizacyi... która stałaby się osią całego naszego społeczeństwa i całego naszego życia narodowego. Ten zjazd ma się odbyć w Częstochowie. Tam na sali królewskiej, gdzie tyle i takich wspomnień łączy się z sercem każdego Polaka... pod okiem Miłościwej naszej Pani i Królowej... niechaj się ocknie do życia Polska! Niech te same oczy patrzą na nas, które patrzyły na Kordeckiego i na garstkę obrońców! Niech nam one dadzą tę samą siłę, odwagę i jedność co tamtym... a życie będzie.

Tad. Łubieński.



O poezyi Legionów.

(Słowo wstępne O. R. Koppensa na wieczorku d. 23. stycznia b. r.)

Pomimo hekatomby krwi, na całym obszarze wojny przez nasz naród wylanej; pomimo ruin i zgliszczy, pokrywających naszą ziemię od krańca do krańca: półtora roku tej światowej zawieruchy ugruntowało w nas tę niezłomną wiarę, że dopóki nie nastąpi pomyślne rozwiązanie kwestyi polskiej, dopóty Europa nie odetchnie swobodnie i nie zabezpieczy się od grożącej jej, wskutek rozbiorów Polski, — dyktatury wschodniego knuta.

Tę wiarę i tę nadzieję wzmocniła w nas bohaterska postawa i czyny ofiarne naszych Legionów, które są niezbitem świadectwem żywotności naszej sprawy i niewygasłego w nas pragnienia wolności. Rozwój, powodzenie i tryumf Legionów są zwycięstwem polskiej myśli narodowej: dlatego niema chyba polskiego serca, któreby na odgłos legionowej pobudki nie zabiło mocnem tętnem wielkiej patryotyczej otuchy i nie zwracało się w tych dniach ucisku do Dawcy wszelkiej łaski dźwiękiem starego hymnu, co jest zarazem najpiękniejszą polską modlitwą: „Ojczyznę, wolność racz nam wrócić, Panie!“

Wśród zastępu tych, co znicz tej wiary jedni z pierwszych, po pamiętnym dniu 16. sierpnia r. 1914., w narodzie swym niecili, i nadziejom, związanym z ideą Legionów, odrazu ofiarnego użyczyli poparcia, znajdujesz się i Ty, Ekscellencyo Najdostojniejszy nasz Arcypasterzu!

Witając Cię tedy na tej wieczornicy w naszem gronie, tak bardzo uszczuplonem przez wypadki wojenne, i dziękując Ci imieniem tych wszystkich, których pasowałeś na Chrystusowych rycerzy wiary, sądzimy, że Cię uczcimy najlepiej, poświęcając to zebranie sławie, ofiarom i męczeńskiej krwi najmłodszych polskich wojowników-Legionistów.

Bo oto ich krew i bohaterskie ofiary sprawiły, że stara nasza Pieśń Wyzwolenia i Wolności, która od półtora wieku budzi do czynów coraz nowe pokolenia, wezbrała nanowo wszystkimi tonami naszych wielkich ideałów. Ścichła lutnia wypieszczonych poetów, co nucili jeno wysubtelnione drgnienia chorych swych nerwów, i czcili bałwochwalczo „sztukę dla sztuki“, a w rzeczywistości siebie samych i swe namiętności: natomiast zahuczały w poezyi artystycznej — o tej bowiem tu jedynie mowa — mocne akordy bojowych surm, głoszące hasła świętej sercu polskiemu sprawy. I znów nawiązały się zerwane struny tej bohaterskiej poezyi, co ulatywała przed wiekiem nad szeregami Legionów Dąbrow-

skiego, a później kładła na skroń bojowników listopadowych wawrzyny sławy, by w końcu opiewać wielki akt poświęcenia, który się spełniał przed laty przeszło pięćdziesięciu w męczennych zapasach styczniowych powstańców!

Dziś pieśń ta odżyła i jest jakby przypomnieniem całej martyrologii polskiej — jakby refrenem w tym krawym poemacie, jakim są nasze porozbiorowe dzieje. A refren to tem silniejszy, że jest położon po ostatniej strofie roku 1863. i równocześnie jest wyrazem dzisiejszej światowej walki, która tematów dobiera z poświstu kul, z trzasku karabinów maszynowych, z ryczących basów ciężkich dział i moździerzy. Natchnienie i motywy dały im rowy strzeleckie, okopy i szańce, szturmem wzięte pozycye wraże, forsowne na tysiącach kilometrów marsze pościgowe, samotne czaty lub nieustraszone patrole na zaśnieżonych szczytach gór lub na rubieżach dawnej Rzeczypospolitej...

Wznawiają dziś bowiem Legiony przesławną pamięć polskiego oręża, jaśniejącego aureolą męstwa pod Stoczkiem, pod Wawrem, pod Dobrem, pod Grochowem i w Olszynce; — a świeże pola ich krwawej orki pod Krzywopłotami i Limanową, pod Rafajłową, Nadwórną i Łowczówkiem, pod Rokitną i Mołotkowem — czy to nad Wisłą i Nidą, czy nad Dniestrem i Prutem, Bugiem i Styrem — wśród ośnieżonych szczytów i przełęczy Karpackich, czy wśród stepów Besarabii lub bagien Piny i Prypeci są dalszym ciągiem tychże zapasów i tych samych dążeń do wyzwolenia.

Drugą nutą, lecz bardzo silnie dźwięczącą w spółczesnej poezyi legionowej, to nuta wiary i ufności, to modlitewny ton, co jak nić złota snuje się poprzez liczne pieśni polskie bojowe, nadając im charakter odmienny od wszystkich bluźnierczych pesymizmów i sceptycyzmów, w które tak bardzo obfitowała poezya modernistyczna przed wojną!... Wyczuwamy w nich stare, nietknięte przez nalot płytkiej niewiary, pokłady czysto polskiego, katolickiego ducha, co otrząsnąwszy się przez bohaterski czyn zarówno z rozkładczych naleciałości t. z. „wyższej kultury“ Zachodu, jak i ze zmory północno-wschodniego nihilizmu, uskrzydla duszę polską na nowe wzloty, gotując jej zdrową epokę odrodzenia nie tylko w dziejach, ale i w sztuce. Wielkie bowiem czyny to ziarna twórcze na przyszłość, a dla samego życia to ożywcza krynica odrodzenia ducha! Niema tu miejsca na to, co nas może dzielić, jeno na to, co żyje i tętni nieśmiertelnie w sercach wszystkich, jako nasze wspólne ukochanie...

A siła ta tryska z Legionów. Legionista bowiem jest czemś więcej niż pospolitym żołnierzem, choćby najdzielniejszym: jest w nim coś z dawnego rycerza-krzyżowca, co idzie w bój jakky na rozkaz z nieba, porwany miłością i wiarą w królestwo nie z tego świata, realnie jeszcze nie istniejące, który jednak mocą swej woli i potęgą swej ofiary chce na ziemię ściągnąć i urzeczywistnić.

W chwilach namysłu i skupienia, po szarych trudach żołnierskiego żywota w głodzie i chłodzie, czuje on, że w nim i przezeń spełnia się jakiś wielki fakt dziejowy, — że na jego barkach cięży los Polski, — że jego śmierć na polu walki jest dla narodu tytułem i dokumentem praw historycznych do nowego istnienia. Legioniści idą umierać, bo chcą, żeby Polska żyła! Stąd to słowa hymnu naszego: „Jeszcze nie zginęła“ nabrały nowej treści i stały się przewodnim motywem całej współczesnej liryki legionowej. Dlatego niema w niej owej filigranowej wytworności, do jakiej nas przyzwyczaiła miękka poezya ostatnich lat. Tu treść góruje nad formą, za zwyczaj prostą, czasem naiwną, a zwykle twardą, jak trud bojowy. Nawet w gorących modlitwach Legionistów słychać raczej dźwięki mocne, silne i ostre, ale stanowcze, jak brzęk szabli lub szczęk karabinu: bo czują się oni spadkobiercami dawnej siły narodu i wskrzesicielami jego dostojeństwa; stąd ożywia ich niezłomna wiara w przyszłość. Od dymiących zgliszczy, od okopów i ziemianek Legionistów, od błot Polesia i Wołynia wionie ku szarym płaszczyznom życia tchnienie wielkości, co budzi w nas wiarę, że nieśmiertelny musi być naród, jeśli w nim po 150 latach srogiej niewoli odradza się potęga i żądza życia tak silna, żé śmiercią gardzi i nad śmierć wyrasta!



UŁAN MARCELI GOŁĘBSKI.



Do Młoazieży w Chyrowie!

Młodzi droga! – tu w Konwikcie tobie tylko żyć,
Ideałów twej młodości, marzeń cudnych nić
Snując w szczęściu i pogodzie podczas szarych dni,
Przy swobodzie, w pełni ducha, który ciągle śni!
Jednak Boga łaski, dary, co masz tutaj, znać,
A poznanych – Młodzi droga – miłość w serca wlać
Ucz się, ucz!

Młodzi droga! – dziś twe życie, jakby złoto ceń,
Bo się zbliża lepszej doli Polski naszej dzień.
Walczy o nią w hufcach dzielnych kwiat młodzieży sam,
Ginie o nią w walkach krwawych tego kwiatu łan,
Więc następców tego kwiatu pokoleniem być,
Zbiorem godnym przodków chwały – Młodzi droga – żyć,
Ucz się, ucz!

Młodzi droga! – życia twego opiekunem Bóg!
On umieścił w twojej duszy cnót wszelakich róg,
Twoją pracą być powinno z tego rogu cnót
Brać zarodki i zaszczepic w puchny duszy grunt.
Lecz ta praca nieraz cięższa, niż najsroższy bój,
Jednak kochać – Młodzi droga – ten szlachetny znój,
Ucz się, ucz!

Młodzi droga! – cnót szczepienie potrzebuje rad,
Rad wytrawnych, wskazywania im przeciwnych wad.
Tu w Konwikcie – któż zaprzeczy? – tylu dusze zna
I na walki, ducha bole wszelkie radę ma.
Więc i praca ta choć żmudna, wyda róży plon,
Tylko Starszym – Młodzi droga – zaufania oddac skłon
Ucz się, ucz!

Młodzi droga! – oprócz duszy – umysł cenny masz,
Bystry, jasny i pojętny, jako życia straż!
Lecz i umysł potrzebuje do rozwoju dróg,
By nie zbłądził manowcami wśród mamideł smug.
Tych mamideł dziś zarazę, chcącą sidła pleść,
Rozeznawac – Młodzi droga – i w zarodku zgnieść,
Ucz się, ucz!

Młodzi droga! – te mamidła mają ponęt siec,
Piękną barwę i mamiącą chcą też zawsze miec;
Ale prawda nauk dobrych jasnem światłem drga,
Nie łudzącem, lecz ożywczem, co wesele da.
Jasnem światłem dobrych nauk zawsze karmić wzrok,
By nie zbłądzic, — Młodzi droga — w zgubnych rojeń mrok,
Ucz się, ucz!

Młodzi droga! – dziś nauka cenny daje dar,
Umysł lotny i pogodny, wykształcenia piękny czar;
Wykształcenie zaś Ci daje godzin szkoły czas,
Gdzie nauką poic umysł może każdy z was.
Więc ochotnie i radośnie umysł kształcić chciec,
Słuch otwarty dla nauki — Młodzi droga — miec,
Ucz się, ucz!

Młodzi droga! – człowiek pracy potrzebuje tchu
I rozrywki pośród ludzi, serc oddanych mu.
Młodzian pragnie opowiedziec swoich marzeń sen
I zmęczoną duszę, ciało krzepić w polach – hen!
Tu w Chyrowie — któż zaprzeczy? — tyle ładnych pól,
Tylko patrzec — Młodzi droga — słuchac mowy ról,
Ucz się, ucz!

Młodzi droga! – życie twoje mija jako maj,
Ryjąc silnie swe wrażenia w cudny wspomnień raj.
Bóg ci daje w Wychowawcach i Kolegach tyle łask,
By ich widok i przykłady zapalały cnoty blask;
Łaski tedy i przykłady umiec wpajac w życia kwiat
I wyrabiac się do pójścia — droga Młodzi — w świat,
Ucz się, ucz!

Młodzi droga! — tu w Konwikcie tobie tylko byc,
Pielęgnując kwiaty duszy, życiem wyższem żyć!
Wychowawców, nauk tyle — tylko duszę kuc,
I Kolegów dobrych tyle — tylko wianek wspomnień snuć!
Tylko patrzec i poznawac Boga łaski, darów cud,
A poznawszy, niemi topic — Młodzi droga — serca lód
Ucz się, ucz!





Z życia Sodalicyi Konwiktowej.

Minęło największe nasze ukochane Święto Niepokalanego Poczęcia Najśw. Panny. Jak zawsze, tak i tego roku obchodziła je nasza malutka Sodalicya z wielką uroczystością. W nowennie poprzedzającej to święto brała udział nietylko Sodalicya, ale i cała klasa VIII. i VII. złączona w tym roku w jedną dywizyę. Nowennę celebrował i w pierwszy jej dzień miał przemowę W. O. Stopa, zachęcając uczestników do praktycznej czci Niepokalanej przez naśladowanie Jej cnót, zwłaszcza najdrogocenniejszej czystości. W sam dzień Uroczystości w czasie Mszy św. celebrowanej w naszej kaplicy przez O. Moderatora trzech kandydatów poświęciło się na służbę Niepokalanej, a po odnowieniu poświęcenia się naszej Sodalicyi, wyjątkowo w tym roku odnawiały swe poświęcenia obecne na tej Mszy kongregacye: Panów, Pań, i PP. Nauczycielek ziemi Przemysko-Samborskiej. O 3. popołudniu odbyła się w dawnej sali naukowej klasy I. akademia, której program tak się przedstawia:

1) Rubinstein: „Melodya“ na fortepian — W. Rosiński
1) Przemowa Prefekta Kongr. Mar. — T. Haładewicz
3) Glińska: „Wspomnienie“, 2 skrzypiec z tow. fortepianu — S. Urban i K. Hrenich
4) „Radość w życiu sodalicyjnem“ odczyt — K. Hernich
5) H. Rawin: „Chanson joyeuse“ na fortep. — Z. Grzymek
6) Lucyan Rydel: Modlitwa Królowej Korony Polskiej deklam. J. Gołębski.
7) P. Prof. Wł. Kozłowski: „Fantazya“, solo skrzypcowe z tow. fortep.

Na podwieczorku po akademii zaszczycili Sodalicyę swą obecnością nasi dawni Sodalisi pp.: Dr. Józef Ausobsky (nasz lekarz zakładowy), Rudolf Baranowski (sędzia z Przemyśla), Stanisław Chobrzyński (świeżo przybyły na urlop z pola walki) i Jerzy Ostrowski (z Pawłosiowa). Ponadto przybył umyślnie zaproszony ojciec jednego z nowych Sodalisów, p. Pragłowski. P. Sędzia Baranowski serdecznie przemówił do zebranych, wyrażając głęboką wdzięczność za dobrodziejstwa, których obficie sam

doznał w Kongregacyi. W dniu tym odwiedził także Zakład nasz dawny Sodalis, p. Leon Stankiewicz.

Pisemnie złączyli się z nami w odnowieniu poświęcenia się Najśw. Pannie nasi dawni Sodalisi pp.: Dr. Stanisław Salkowski ze Lwowa, Dr. Mieczysław Zajączkowski z Krakowa, X. Stefan Machnicki T. J. z Dziedzic, Tadeusz Maciejowski z Radziechowa, Jan Kuhn z Krakowa, Stanisław Myszkowski, Józef Strzelecki, Tadeusz Strutyński, Jan Deskur (z pola walki), Karol Kuhl z Wiednia, Zdzisław Michalski z Przemyśla, Władysław Ładomirski z Białej, Tadeusz Urbańczyk i Stanisław Urbańczyk z Chrzanowa, Jan i Tadeusz Lubaczewscy, oraz Tadeusz Stoklasa z Olkusza, nakoniec nasz I. Asystent, obecnie w wojsku w Tarnowie służący, Karol Brachel. Sodalisi Michalski i Brachel częste i bardzo serdeczne stosunki utrzymują z naszą Kongregacyą.

Ważny w Kongregacyi urząd Instruktora kandydatów opuszczony przez służącego w wojsku naszego I. Asystenta Karola Brachla musiał być jak najprędzej, choćby prowizorycznie zajęty. Objął go Sodalis Jan Pragłowski. W Sodalisie Brachlu, tak gorliwym w spełnianiu swych obowiązków Maryańskich, dotkliwą stratę poniosła nasza Kongregacya.

Niedawno zawiązane kółko Eucharystyczne liczy 50 członków, także z poza Sodalicyi klas VIII—VI. i odbyło już dwa miesięczne zebrania. Na pierwszem dokonano wyborów Wydziału. Prezesem został Sodalis Obertyński, wiceprezesem kand. Gottwald, Sekretarzem kand. Zawadzki. Wydziałowymi ponadto: Sodalis Hernich i kand. Szayer Jan. Na zebraniu Sodalicyjnem po świętach podjęto dawnym zwyczajem ankietę nad obecnym stanem naszej Sodalicyi. Na liczne i szczegółowe w tej kwestyi zagadnienia mają w ciągu tygodnia odpowiedzieć wszyscy bez wyjątku sodalisi i kandydaci miejscowi. Przy dobrej, gorliwej woli ogółu posłuży ta ankieta wydatnie do rozwoju naszej Sodalicyi.

Franciszek Wasilkowski, S. M.
Sekretarz Kongregacyi.





KOLĘDNICY W KONWIKCIE.

KRONIKA KONWIKTOWA.

Dla uzupełnienia poprzedniej Kroniki notujemy, że O. B. Jabłoński jest ministrem kolegium w Starejwsi pod Brzozowem, gdzie też przebywają OO. Baudiss, Mróz i Stepek; O. A. Lachman jest w N. Sączu, O. Piechocki w Stanisławowie, O. A. Piątkiewicz jeszcze z Poznańskiego nie wrócił, a młodsi księża z ostatniego roku przed wojną są wszyscy w Dziedzicach. Z nauczycieli muzyki wrócili do Chyrowa pp. Kozłowski i Z. Rund. Parafia otrzymała wreszcie pasterza w osobie X. Wawrzyńca Lenickiego, który w połowie listopada objął już na stałe probostwo.

Koniec listopada przyniósł wielkie śniegi i mrozy, do tego stopnia, że nawet nasz konsyliarz Dr. Ausobsky z wielką biedą mógł się do Konwiktu przez zaspy przedostać. Ponieważ na strychach i nasze saneczki ocalały i nie zostały przez żadną armię zarekwirowane, więc 23. listopada wyruszyliśmy z niemi ochoczo w góry, a jak jeden z kronikarzy notuje, zaczęła się „połamaniada“. Stary kronikarz z okopów narzeka na obecną kronikę, pisząc, że cały ostatni zeszyt gazetki był ciekawy, tylko kronika nudna i sucha. Ja wiem, dodaje, że wojna, więc cała prasa, zatem i chyrowska musi być poważnie nastrojona, ale nie wierzę jednak, żeby konwiktorzy byli tak poważni, a kronika powinna być odbiciem konwiktowego życia, młodzieży. — Cóż robić, w wielu innych wypadkach to samo zjawisko spostrzegamy; temu nie przeczymy, że na konwiktorach wielkiej powagi nie widać, pod tym względem nic się nie zmieniło.

D. 29. listopada odśpiewaliśmy po nabożeństwie „Boże coś Polskę“,

a d. 2. grudnia z okazyi rocznicy wstąpienia na tron Naj. Pana nabożeństwo celebrował O. Pykosz, poczem odśpiewano hymn ludów. Co raz głośniej mówiono, że najstarsi koledzy coś na św. Mikołaja przygotowują, ale większego przygotowania podjęli się XX. Dzierżanowski z Dzikiewiczem, bo przygotowania sali popisowej, dawna bowiem to jeszcze ruina i wojenne spustoszenie. Rzeczywiście, gdy przyszedł wieczór św. Mikołaja poszliśmy aż na drugie piętro (ktoś uczynił uwagę, że to postępu chyrowskiej sceny oznaką) do dawnej sali naukowej kl. I., gdzie odegrano komedyjkę „Jeden na trzech“ (pierwszy raz w tym nowym okresie konwiktu). Następnie były monologi, a wreszcie długie kazanie św. Mikołaja z aluzyami do czasów wojennych i miejscowych potrzeb i okoliczności, a wreszcie tradycyjne harce z dyabłami i ucieszne z nimi malców przygody. Jasną jest rzeczą, że rozproszoną chyrowską kapelę zastąpić musiał przytem wszystkiem — patefon.

W dniu następnym notuje kronikarz jakieś wypadki na lekcyi logiki, pisze o braku do niej podręcznika, ale ta sprawa ogółu nie obchodzi gdyż odnosi się tylko do jednej klasy.

D. 7. grudnia wzięliśmy udział w nabożeństwie za zmarłego w nocy z 5. na 6. grudnia kolegę z kl. I. Adama Hołyńskiego, którego zwłoki odprowadziliśmy na kolej dopiero popołudniu d. 10. b. m.

Dzień 8. grudnia, główne święto sodalicyjne obchodzone uroczyście według dawnych zwyczajów, a o g. 3. wzięliśmy udział w akademii Maryańskiej, w czasie której podniosłe wrażenie uczyniła deklamacya wiersza L. Rydla „Modlitwa Królowej Korony Polskiej“.

Śniegi znikły, zrobiło się znów ciepło, ale też niektórym kolegom trochę markotno, bo rozeszła się wiadomość, która pewnej części humor popsowała, że na święta rozjazdu nie będzie. Ja i tak nigdy i przed wojną nie wyjeżdżałem, więc śmiałem się w duchu z tych pieszczochów, a chcąc jakąś wiadomość dla kroniki znaleźć puściłem się w niezaludnione części konwiktu i odkryłem, że dawne pokoje gościnne już zostały odrestaurowane, wymalowane, jeńcy właśnie je już myli. Wieczorem d. 14. grudnia widzę, jak czterech najtęższych ósmaków dźwiga od Br. Meisnera od konwiktowej bramy jakąś wielką pakę i dowiaduję się, że to właśnie Br. Meisner przywiózł z Przemyśla gazetkę, która po półtorarocznej przerwie, znów się ukazała. Zaczęliśmy więc z zajęciem czytać Kwartalnik, (bo wiele w nim było rzeczy, wyjątkowo przez nas nie widzianych), niektórzy profesorzy na tę lekturę krzywo patrzeli, bo im w innej lekturze, która leżała na ławkach, przeszkadzała. Zaczęliśmy wkrótce do gazetki wkładać broszurki i opłatki i najpierw wysyłać zeszyty zaadresowane „Feldpost“, aby na Gwiazdkę doszły.

Rozjazdu miało nie być, ale klasyfikacya miała być i to pierwsza uroczysta, więc i nauka się spotęgowała, choć może nie u wszystkich. D. 19. grudnia było ogólne zebranie skargowskiego Koła, na którem

miał pouczający odczyt O. Koppens na temat: „Dlaczego czytać, co czytać, jak czytać?...“ a Koło nie zapomniało o Gwiazdce dla Legionistów.

Pierwsza publiczna klasyfikacya, choć pod każdym względem skromna, odbyła się d. 23. grudnia o g. 10. w tej prowizorycznej sali popisowej. Muzyką i śpiewem kierował O. Kohldorfer. Deklamowali kol. Otwinowski „Modlitwę Legionów“ i Rylski wiersz „Cicho dzieci“. Wspólny chór ze śpiewami pieśni: „Jest kraina“ otrzymał huczne oklaski. W tych dniach odwiedzili nas kol. Jacek Pieniążek, legionista, z rosyjskiego frontu i Józef Strzelecki, artylerzysta, z włoskiego frontu, opowiadający o swych przygodach.

Nieco krzywem okiem zaczęliśmy spoglądać na tych 20-tu najbliższych sąsiadów Chyrowa, którym pozwolono wyjechać na święta, ale świeżo zamarzłe stawki, na których lód uporządkowali jeńcy — kazały zapomnieć o fochach. Nadeszła wilia. Wieczorem do naszej jadalni zgromadzili się wszyscy Ojcowie i Bracia na tradycyjną polską wieczerzę. Po przeczytaniu uroczystego „Martyrologium“ odśpiewaliśmy: „W żłobie leży“ — poczem O. Rektor, łamiąc się z nami opłatkiem, jakieś słówko życzeń każdemu z nas dołączył.

Suto oświecone drzewko, oraz dalszy śpiew wesołych kolęd pocieszyły wkrótce tych, co się martwili, że nie będą na wilii w domu rodzinnym. Potem zebraliśmy się na jednej z sal, gdzie dali przedstawienie kolędnicy z szopką, które później powtórzono znów w jadalni, w czasie wigilijnej wieczerzy, jaką mieli wraz ze służbą konwiktową rosyjscy jeńcy. Młodsi koledzy udali się jeszcze na spoczynek. O północy wzięliśmy udział w Pasterce, którą odprawił O. Rektor.

W dniach następnych znalazłem u jednego z kolegów wierszyk, który jako owoc z wigilijnego tegorocznego drzewka na pamiątkę do tej kroniki dodaję:

Na niebo jasne, ciche, pogodne
Wschodzą już gwiazdy, już jest z wieczora,
Przez śnieżne niwy mkną wichry chłodne,
W Polsce nadchodzi wilijna pora.

Na ustach naszych radość kolędy,
Opłatek święty wespół dzielimy,
A pod rodzinną strzechę i wszędy
Myślą, wspomnieniem tęskni gonimy.

Wilia przechodzi, już pieśni cichną,
Już jakby poszum słychać rozmowy,
Nasze wspomnienia z tęsknotą nikną,
By wnet zbudzone snuć wątek nowy.

Cisza... przez okno blask lśni miesiąca,
Mąci ciemności, oświeca salę,

Widzę Anioła, gdy myśl ma śniąca,
Który mi szepcze „Polskę ocalę!“

Nie zginął naród, nie zmarł bez echa,
Lecz żył i czekał, by wziąć oręże,
Aby znów stworzyć królestwo Lecha, —
Walczą Legiony z wiarą: „zwyciężę!...“

Walczą! — W Betleem Jezus Dziecina
Na świat przychodzi z błogą nowiną,
Oręż zabójczy przed Nim się zgina,
Słowa nadziei — w ziem okrąg płyną...

Ani saneczek, ani łyżew użyć nie można było, więc grywaliśmy w dzwonka i młotka na orzechy, które O. Prefekt Generalny wcześnie zamówił, oraz ćwiczyliśmy się do wieczornych przedstawień, z któremi wystąpiły po kolei wszystkie klasy. Grano: „Nikt mnie nie zna“, „Pan Pankracy w Wiedniu“, „Szelmowski interes“ i inne komedyjki; żydowskie kuplety Abramka najwięcej wszystkich ubawiły, a sam Pinkt aż zachrypł.

Dn. 28. grudnia wrócili ci z kolegów, którzy święta spędzali poza Konwiktem, a nazajutrz poszliśmy do szkoły, ale trochę na pół świątecznej.

Ostatniego grudnia, w czasie wieczornego nabożeństwa na zakończenie roku, celebrowanego przez O. Stopę, kazanie miał O. Kotowicz. Po kolacyi były jeszcze na naszej scenie różne, ku rozweseleniu w każdym razie służące kawałki, i w ten sposób zakończył się ten rok.



ROK 1916.

W czasie uroczystego nabożeństwa dnia 1. stycznia, które celebrował O. Nuckowski, modliliśmy się gorąco, aby Boże Dzieciątko błogosławiło w tym roku Ojczyźnie miłej i zesłało pokój upragniony, zabliźniając rany, które zadała wojna. Zaczęła się już na dobre szkolna orka, podobnie jak i na froncie Konwiktu zaczęto orać potratowane w czasie inwazyi trawniki. — Deszcze i wielkie błota nie pozwalają nam wyjść z domu. Ruch kolejowy znów ograniczono, gazety bardzo nieregularnie przychodzą, coś tam i na linii bojowej się ożywiło, ale po dniach niepokoju nadeszły dobre wieści.

Koło 12. stycznia wróciła zima, a do nas przyjechał ze szpitala w odwiedziny kol. Wit Rylski i opowiadał o swych przejściach w okopach pod Buczaczem. Do Konwiktu znów kilku nowych kolegów przyjechało, a bawiący na urlopie legionista W. Bochenek, opowiadał nam w czasie przechadzek o swych wojennych przygodach.

Przyszla wiadomość o śmierci naszego inspektora Radcy Dworu ś. p. Dra Emanuela Dworskiego.

Z okazyi rocznicy powstania styczniowego, Koło Skargowskie wysłało na Legiony 50 K. Rocznicę tę obchodziliśmy uroczyście, gdyż przybył do Chyrowa J. E. X. Biskup Józef S. Pelczar, przemyski arcypasterz, wieczorem 22. stycznia. Pięknie spędziliśmy następną niedzielę. Rano Najdostojniejszy Arcypasterz, celebrując w naszej kaplicy, udzielił pięciu Klerykom Tow. Jez. mniejszych święceń, a młodszym naszym kolegom Sakramentu Bierzmowania, karmiąc wszystkich stosowną do ważności chwili nauką, oraz Chlebem Żywota. Pod koniec nabożeństwa odśpiewaliśmy z głębokiem wzruszeniem: „Boże coś Polskę“.

Urządzona w tym dniu wieczornica literacko-wokalno-muzyczna wypadła nadspodziewanie dobrze, jeśli się zauważy, że sił konwiktowych mamy obecnie nie wiele. — Treściwe choć krótkie, podniosłe i gorące słowo wstępne O. R. Koppensa: „O poezyi Legionowej“ umieściliśmy wyżej. Deklamacye stworzyły przegląd tej poezyi, wyglosili bowiem kol. M. Wyspiański wiersz: „Polsko znów jawisz się nam“ Jana Pietrzyckiego; kol. T. Zawadzki: „Starym szlakiem“ — Józefa Mączki; kol. F. Ritter wiersz „Wojna“; L. Pragłowski — „Uparty“ Z. Kamińskiego; J. Gołębski „Żołnierską piosenkę“; J. Pragłowski „Modlitwę“ K. Łepkowskiego; M. Ledóchowski wiersz: „Ś. p. Marcelemu Krajewskiemu“ przez K. Bukowskiego; A .Gołębski — „Wierzę“ Wida; W. Rosiński — „Jeniec“ K. Łepkowskiego; S. Wyspiański — list do matki „O pobłogosław Ty jutrzejszą kulę“ T. Smalickiego; M. Gottwald — „Legiony i Polska“ J. Teslara. Younga — „Na chrzest ogniowy“ K. Łebkowski; W. Haas — „Droga Legionów“ J. Mączki, a w końcu „Witaj prześliczna Niepokalana“ wiersz legionisty Stanisława Pacho wygłosił kol. S. Otwinowski. Chór odśpiewał, Krakowiaka, Mazura, dumkę „Stoi Jawor“ i „Jeszcze Polska nie zginęła“. Na część muzyczną złożyła się orkiestra smyczkowa, grając serenadę, Romancę Mozarta, mazura N. Biernackiego, a kol. Urban odegrał solo na skrzypcach „Romanca“ Wieniawskiego. Koroną jednak wieczorku była prześliczna, z ogromnym ogniem wypowiedziana ze sceny, mowa J. E. X. Biskupa Pelczara o miłości i pracy dla Ojczyzny, której wysłuchaliśmy z wielkiem przejęciem, a da Bóg, że i nie bez pożytku i skutku. Sala, dzięki zabiegom X. Dzierżanowskiego, była ładnie ozdobiona i przedstawiała widok arsenału, czy zbrojowni. Na drugi dzień, pożegnawszy Dostojnego Gościa, powróciliśmy do szkolnych zajęć.

Koniec stycznia przyniósł nam ślizgawkę, ale nie koniec półrocza, bo my je kończymy dopiero na początku marca. Skończył się też miesiąc kolęd, a d. 2. lutego bylismy świadkami ostatnich ślubów zakonnych, które złożyli: O. W. Kotowicz i Br. Czernia.

W. Z. W.

Sprawy Związku Chyrowiaków.

Warunki obecne na projektowane walne zebranie w Chyrowie jeszcze nie pozwalają, zastąpi je posiedzenie Prezydyum Związku, mające się odbyć w Chyrowie dnia 5. marca b. r., oraz w Krakowie dn. 30. kwietnia.

Prezydyum Związku wysyła członkom serdeczne podziękowanie za obfite nadsyłanie wkładek, może obfitsze niż w czasie pokoju; dzięki temu Kasa Związku mogła się głównie przyczynić do wydania Kwartalnika, który właśnie teraz najwięcej jest dla celów Związku potrzebny i pożyteczny. Z kasy prócz innych zwykłych wydatków wysłano na „Kolumnę Legionów“ 50 K. i na „Gwiazdkę Leg.“ 20 K.

Dnia 1. lutego stan kapitału obrotowego tak się przedstawiał:

Przychód	2088 K 84 h
Rozchód	1473 „ 48 „
Pozostaje	615 K 36 h

Z życia w Kołach zanotować można pomyślne ożywienie w Kole Lwowskiem. Ułożono tam i wprowadzono w życie regulamin Kasy „Samopomocy“. Na zebrania wprowadzono i odczyty, a o dwu uroczystszych, z okazyi opłatka i u X. Dr. Jełowickiego, zebraniach z wielką sympatyą Koledzy wspominają. Z Kasy Koła złożono po 10 K na „Gwiazdkę“ dla legionistów, na wdowy i sieroty po nich, na fundusz im. Rutowskiego i na „Ochronę dziecka“. Chyrowiacy powracający do Lwowa na urlop z pola walki, raz po raz do Koła zaglądają, które miewa teraz zebrania w lokalu przy ul. Kurkowej 3. Tam też udziela wszelkich informacyi kol. S. Sokalski między godz. 10. a 1.

Dn. 18. stycznia odbyły się w Kole Lwowskiem wybory z następującym wynikiem: Prezes Dr. Stan. Salkowski (Chrzanowskiej 11.), wiceprez. W. Łysakowski, sekretarz Dr. Zygmunt Glixelli (Mochnackiego 10.), skarbnik S. Sokalski, wydziałowi: prof. S. Głowacki, Dr. K. Nahlik, M. Cichocki, Dr. T. Riedl, K. Toepfer, kom. szkontr. J. Polaczek, Dr. J. Nowosielecki i St. Bromilski. D. 22. stycznia w czasie uroczystego obchodu rocznicy powstania we Lwowie przemawiał w imieniu Związku Dr. St. Salkowski.



REDAKCYA „KWARTALNIKA CHYROWSKIEGO"

CHYRÓW — KONWIKT.

REDAKTOR: X. TEOFIL BZOWSKI T. J.

Nakładem Zakładu nauk.-wych. OO. Jezuitów w Chyrowie. Z drukarni Józefa Styfiegc w Przemyślu.